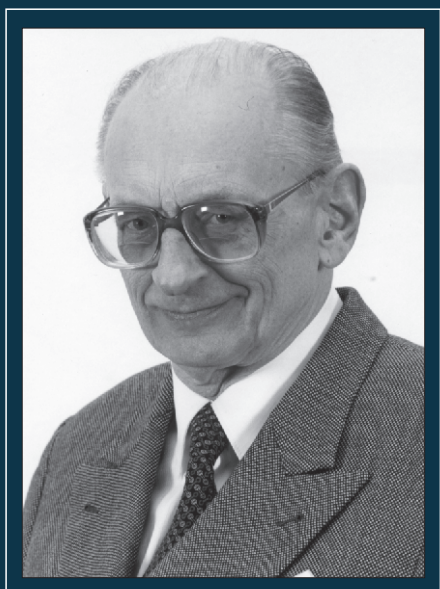




Władysław
BARTOSZEWSKI

PISMA WYBRANE
1991–2001

UNIVERSITAS

PISMA WYBRANE

tom 5
1991–2001

KLASYCY WSPÓŁCZESNEJ POLSKIEJ MYŚLI HUMANISTYCZNEJ

Seria pod redakcją Andrzeja Nowakowskiego

WŁADYSŁAW
BARTOSZEWSKI

PISMA WYBRANE

1942–2012

WŁADYSŁAW
BARTOSZEWSKI

PISMA WYBRANE

tom 5
1991–2001

wybór, opracowanie i przypisy
Andrzej Krzysztof Kunert

Kraków

© Copyright by Władysław Bartoszewski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011

ISBN 97883-242-1586-7
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Izabella Sariusz-Skąpska

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

Na okładce Władysław Bartoszewski, fotografia

www.universitas.com.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

* * *

Piąty tom *Pism wybranych* Władysława Bartoszewskiego zawiera teksty rozproszone z lat 1991–2001.

Przy ich lekturze winniśmy pamiętać o rozpoczęciu przezeń we wrześniu 1990 r. (w wieku 68 lat!) nowego etapu w życiu. Objęcie wówczas stanowiska ambasadora wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej w Austrii wyznaczyło cezurę początkową długiego, trwającego do dziś, okresu służby państwowej dla suwerennej Rzeczypospolitej.

Był w tym czasie ambasadorem w Austrii (1990–1995), dwukrotnie ministrem spraw zagranicznych (1995, 2000–2001), senatorem RP (1997–2001), zaś od listopada 2007 r. jest pełnomocnikiem premiera ds. dialogu międzynarodowego i sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (2008–2011). Funkcje państwowe łączył z wysokimi funkcjami społecznymi, przewodnicząc Międzynarodowej Radzie Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (od 1990), Międzynarodowej Radzie Oświęcimskiej przy Prezesie Rady Ministrów (od 2000), Radzie Powierniczej Zamku Królewskiego w Warszawie (od 2001), Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (od 2001) i Polskiemu PEN Clubowi (od 2001).

Także w tym czasie otrzymał polski Order Orła Białego (1995) i Krzyż Wielki niemieckiego Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec (2001) oraz honorowe obywatelstwa Izraela (1991) i Miasta Stołecznego Warszawy (1999).

Andrzej Krzysztof Kunert

**Perspektiven der postkommunistischen
Gesellschaft
in Zentraleuropa am Beispiel Polens**

**// Perspektywy społeczeństwa
postkomunistycznego w Europie Środkowej
na przykładzie Polski**

(WYSTĄPIENIE W JĘZYKU NIEMIECKIM
NA V AUSTRIACKIEJ AKADEMII ROZMÓW W EFERDING)
(ZAMEK EFERDING W AUSTRII, 4-6 X 1991 R.)

Gdy przed kilkoma miesiącami trwały przygotowania do dzisiejszego sympozjum, sytuacja w Europie była jeszcze odmienna od obecnej. Zmieniła się w sensie negatywnym, bo jeszcze niedawno nie mieliśmy do czynienia z okrutną wojną domową – więcej niż wojną domową: z agresją człowieka przeciw człowiekowi na terenie Jugosławii. Ale zmieniła się też w sensie pozytywnym, bo rozpadowi uległo tymczasem imperium Związku Radzieckiego. Efektem jest zupełnie nowe położenie międzynarodowe. Wszystko znajduje się jeszcze w fazie przeobrażeń i trzeba poczekać z opiniami i oceną nowej sytuacji (rozpadu ZSRR i przemian w krajach Europy Środkowej) z punktu widzenia polityki zagranicznej i wewnętrznej.

Są jednak fakty, które już dzisiaj odgrywają ogromną rolę przy ocenianiu perspektyw społeczeństwa postkomunistycznego. Do faktów tych zaliczają się również relacje polsko-niemieckie i niemiecko-polskie. Nie można bowiem mówić o jakiegokolwiek perspektywie i możliwości zjednoczonej lub zintegrowanej Europy bez politycznego pojednania między Niemcami i Polakami, narodami i państwami. W stosunkach obu krajów w ostatnich dwóch latach wydarzyło się bardzo wiele, po części dzięki kanclerzowi federalnemu dr. Helmutowi Kohlowi. To on podczas oficjalnych wizyt w Polsce, w listopadzie 1989 r.¹ i później, zrozumiał i zaakceptował, że bez zasadniczych przemian w naszym kraju

nie byłyby możliwe szybkie zmiany na terenie Niemiec, a przynajmniej nie w tym zakresie, w jakim nastąpiły.

Gdy rozważyć wspomniane fakty, jak chociażby dwukrotną wizytę Kohla w Polsce, w Warszawie i w Krzyżowej, ale także we Frankfurcie nad Odrą i w Słubicach², a także wizytę prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera w Polsce³, nasuwa się pytanie o ich znaczenie dla Europy. W znalezieniu stosownej odpowiedzi pomocna jest historia. Przez uprzednie 1 000 lat (!) żadna głowa państwa niemieckiego nie odwiedziła wolnej Polski. Także w okresie 1919–1933 wizyty nie złożył żaden kanclerz Rzeszy. Zatem kontakty w roku 1989 i 1990 mają znaczenie historyczne, a na wszystko, co wydarzyło się w ostatnich dwóch latach między Niemcami a Polską, Polską a Niemcami, patrząc należy w wymiarze historyczno-politycznym, choć nadal nie w pełni zdołaliśmy to sobie uświadomić.

Na obecnym polsko-niemieckim pograniczu nie występują znaczące napięcia czy problemy. Przeciwnie, odbywa się już współpraca w dziedzinie ekologii, a niektórzy burmistrzowie przygranicznych miejscowości poszukują możliwości stworzenia konkretnych perspektyw na przyszłość.

W przeciągu jednego pokolenia można wprawdzie puścić w niepamięć drobne nieporozumienia, ale nie da się zapomnieć faktów historycznych. Jest to istotny wyznacznik nowych czasów dla Polaków i dla Niemców, obowiązujący oczywiście także w (nie aż tak obciążonych) relacjach węgiersko-niemieckich czy czesko-słowacko-niemieckich. To ważne kroki ku przyszłości. Bez nich nie byłby możliwy harmonijny rozwój społeczeństwa i ugruntowanie nowego porządku w Polsce oraz w całym byłym bloku wschodnim.

Znany, choć nie tak już „modny”, angielski politolog Timothy Garton Ash (rocznik 1955) napisał niedawno w eseju dla „The New York Review of Books”:

Gdy wprowadzono stan wojenny 13 grudnia 1981 r., wydawało się, że Solidarność to tylko ostatnie z całej serii bezowocnych wschodnioeuropejskich powstań przeciw narzuconemu sowieckiemu komunizmowi (1953, 1956, 1968, 1980/81 w Polsce). Rok 1989 pokazał jednak, jak fałszywa lub przynajmniej niepełna była to ocena. W 1991 r. możemy nieco jaśniej stwierdzić, czym

była Solidarność: przełomową polską formą potężnej mobilizacji społecznej, z ogólnym zamiarem doprowadzenia do upadku komunizmu drogą pokojowego nacisku ze strony narodu w połączeniu z pertraktacjami prowadzonymi przez elity. Pod tym względem odniosła sukces. Geremek cytuje ze zrozumiałą dumą opinię, którą Lew Timofiejew wyraził w Paryżu w grudniu 1988 r., że „bez polskiej Solidarności nie byłoby w Paryżu ani [Michaiła] Gorbaczowa⁴, ani [Andrieja] Sacharowa”⁵. Historycy Związku Radzieckiego mogą ocenić, ile prawdy zawiera to stwierdzenie. Pewne jest jednak, że Solidarność była przełomowym nurtem w Europie Środkowowschodniej. Nigdzie indziej nie wystąpił tak masowy ruch robotników. Ale część tego, co stworzyła Solidarność w Polsce – pokojowy protest i opór cywilny, rozmowy przy okrągłym stole – znalazło zastosowanie w krajach sąsiedzkich. Polska była pierwsza. Jeśli podział Europy, który w skrócie nazywamy „jałtańskim” miał swój początek w Polsce, to również w Polsce rozpoczął się kres „Jałty”. Żaden inny kraj nie uczynił w latach osiemdziesiątych XX wieku więcej dla wolności w Europie, i żaden inny kraj nie zapłacił za to większej ceny.

Mówiąc o perspektywach społeczeństwa postkomunistycznego w Europie Środkowej, nie wolno pominąć istotnego wsparcia ze strony Kościoła katolickiego dla metody dążenia do demokracji bez użycia siły. Pozostaje faktem historycznym, że bez papieża Jana Pawła II, bez tego człowieka, poczucie wspólnoty europejskiej i motywacja wierzących ludzi w Polsce, na Słowacji, w Czechach i na Węgrzech nie byłyby aż tak silne, jakimi się stały. Naturalnie nigdy jeden czynnik nie rozwiązuje wszystkich problemów, ale pewne jest, że głowa Kościoła katolickiego odgrywała w latach 1978–1989/1990 kluczową rolę w polityce międzynarodowej.

Po raz pierwszy bowiem w najnowszej historii naszego Kościoła na jego czele od 1978 r. stanęła osoba, która większość życia spędziła w systemie autorytarnym, totalitarnym, na własnej skórze przeżywszy doświadczenia szeregu lat od Hitlera po Breżniewa. Wpłynęło to także na polskie społeczeństwo.

Polacy nie są mniej grzeszni od innych narodów, ale 95 procent społeczeństwa zostało ochrzczone w obrządku rzymskokatolickim. Chrzest sam w sobie stanowi szansę, i choć nie wszyscy ją wykorzystują, nie pozostaje ona bez pewnego pozytywnego efektu psychologicznego. Czynnik ludzki jest bowiem czynnikiem, bez którego także w polityce nie da się niczego osiągnąć.

Tradycja polskiej demokracji nie wywodzi się z okresu międzywojennego. Jest jedną z najstarszych w Europie. W bieżącym roku świętowano w Polsce dwusetny jubileusz pierwszej polskiej konstytucji demokratycznej z 3 maja 1791 r., a więc uchwalonej sześć miesięcy przed pierwszą konstytucją francuską. Godne uwagi jest, że w Polsce stało się to bez przelewu krwi i ścinania arystokratów. Konstytucja nie posiadała wówczas należytej siły przebicia. Jako akt owocnej wyobraźni politycznej pozostaje jednak zakotwiczona w polskiej historii. Jej twórcy starali się połączyć idee oświecenia z tradycją polskiej monarchii. Tekst konstytucji zaczynał się od słowa „Bóg”, co pod koniec wieku XVIII w Europie nie było już przyjmowane.

Obecne polskie doświadczenia demokratyczne i problemy związane z aktualnymi przemianami w byłym bloku wschodnim pozostają wyznacznikiem także dla innych – Czechów, Słowaków i Węgrów. O jakie problemy chodzi? Podstawowy problem postkomunistycznej Europy Środkowej to w mojej opinii brak społecznej cierpliwości, odwagi i nadziei. Jest to stwierdzenie może nieco gorzkie, ale prawdziwe. W wielu przypadkach, gdy uwzględnimy ogół ludności, nie zaś wyłącznie elity, dochodzą do głosu zakusy autorytarne, przyzwolenie dla ewentualnych rządów silnej ręki. Narasta atmosfera powszechnej nieufności, a niekiedy poszukuje się kozłów ofiarnych: Żydów, Cyganów, intelektualistów bądź też konkretnych polityków, na których koncentrują się przejawy zwątpienia i nienawiści.

Powyższe refleksje są uzasadnione licznymi przykładami z ostatnich miesięcy, także w nowych landach Republiki Federalnej Niemiec. Historia Europy wieku XX zna podobne momenty słabości demokracji i ich następstwa dla świata. Przyszłość Europy Środkowej zależy od jej zdolności sprzeciwu wobec klimatu odosobnienia i fundamentalizmu, od umiejętności wykształcenia społeczeństwa otwartego. Niemal wszystko zależy od samych ludzi. Od ich ofiarności i wytrwania, od ich aktywności i przedsiębiorczości, ale wiele zależy też od całej Europy. Wszystko, co dotychczas uczyniono – a więc redukcja polskiego zadłużenia, zaawansowana integracja Węgier i Czechosłowacji w instytucjonalnych ramach Zachodu, zaangażowanie Zachodu w inwestycje gospodarcze na Węgrzech i w Czechosłowacji (nieco mniejsze

w Polsce), a także przyznanie tym trzem krajom przez Wspólnotę Europejską statusu państw stowarzyszonych – to kroki w słusznym kierunku. Ostatni punkt jest tym ważniejszy, że towarzyszy mu zapowiedź przyjęcia wspomnianych trzech krajów w przewidywalnym czasie do grona pełnoprawnych członków Wspólnoty Europejskiej. Obietnica ta niesie ze sobą to, czego nasze kraje potrzebują obecnie najbardziej – nadzieję.

Narody Europy Środkowej zawsze charakteryzowały się bardziej „zachodnim” i europejskim nastawieniem, niż wielu Europejczyków na Zachodzie, którzy rzadko poświęcali uwagę rozważaniom nad pojęciem Europy. Dla mieszkańców Europy Środkowej tak zwany Zachód był wówczas swoistym wzorem, symbolem dobra. Mówię „tak zwany” Zachód, ponieważ określenie to jest wyrazem bardzo sztucznego podziału. W odległości 500 metrów na wschód od Odry zaczynała się Europa Wschodnia, 500 metrów na zachód była już Europa Zachodnia! To raczej sformułowanie geodezyjne niż geograficzne. W tym sensie, o przynależności do Okcydentu decydują fakty kulturowe i historyczne. Jak wszyscy bowiem wiemy, Praga znajduje się w istocie bardziej na zachód od Wiednia, a więc z jej perspektywy to Wiedeń leży na wschodzie...

Kraje byłego bloku wschodniego potrzebują przekonania, że ich niepodległość, demokracja i reformy gospodarcze są częścią porządku nie tylko regionalnego, lecz ogólnoeuropejskiego. Jednocześnie nasuwa się trzeźwe pytanie, czy państwa europejskie mogą „pozwolić sobie” na pokrycie niewątpliwie wysokich kosztów integracji. Odpowiedź jest jedna i bardzo krótka. Łączny koszt integracji będzie niższy niż koszty spowodowane przez Hitlera i Stalina, zimną wojnę, zbrojenia, miliardy dolarów stracone na załagodzenia następstw złej polityki amerykańskiej w Jałcie i Poczdamie. Nieporównywalnie niższy!

Musimy uwzględnić wszystkie doświadczenia wieku XX, doświadczenia naszych rodziców i dziadków, a więc żyjących jeszcze pokoleń. Nie chodzi o zjawisko dotyczące samej Polski, Czech, Moraw, Słowacji czy Węgier. Naszym celem jest odtworzenie wspólnej Europy, jaka istniała przed stuleciami. Oczywiście nic w historii nie wraca, ale przy wykorzystaniu i w oparciu o dobre doświadczenia powinniśmy być w stanie stworzyć podobną Europę dla przyszłości.

Niewątpliwie żyjemy w czasach przełomu, ale dopiero na początku etapu nowej Europy, przynajmniej pod względem tego, co stanowi jej płaszczyznę psychiczną czy psychologiczną. Przez każdego Austriaka, przez każdego Niemca, przeciętny Portugalczyk postrzegany był zawsze jako Europejczyk. Niemców z Niemieckiej Republiki Demokratycznej lub Polaków jeszcze przed kilkoma laty nie postrzegano podobnie, z wyjątkiem niewielu rodzin. Do takiego sposobu myślenia nie uprawniają żadne względy historyczne, żadne uprzedzenia polityczne czy stereotypy.

W sierpniu 1989 r. Polska zyskała pierwszego niekomunistycznego premiera [Tadeusza Mazowieckiego]. W następnej kolejności byli Węgrzy, Czesi i Słowacy. Po listopadzie 1989 r., dacie decydującej dla Niemiec, szybko zmieniła się powszechna opinia o przynależności przynajmniej Niemców z byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej do Europy. Tylko niektórzy niemieccy socjaliści pozostali sierotami historii i niewiele zrozumieli...

Czynnik ludzki, ze wszystkim co się do niego zalicza, zawiodł pod kilkoma względami. Zawiodła tolerancja. Coraz częściej zawodzi międzyludzka solidarność. Polacy, Czesi, Słowacy i Węgrzy, nie wspominając o dotychczasowym Związku Radzieckim, nie są przyzwyczajeni do życia bez politycznego protektoratu. Mają wielkie oczekiwania wobec swoich państw, lecz zaczyna im brakować ofiarności. Zjawiska te są wyraźne dla każdego obserwatora tych krajów.

Brakuje ponadto kultury politycznej dla kształtowania swych losów wedle własnej woli drogą samorządności i wolnych wyborów. Jak szybko można nadrobić zaległości w kulturze politycznej? Niezbyt prędko. Trwa to długo, być może całe pokolenie, które musi przejść przez szkoły i wyższe uczelnie. Nie ma tu możliwości znacznego przyspieszenia. Mieszkańcom Niemiec – mam na myśli tych w pięciu nowych landach – możliwość wolnego wyboru dana była po raz ostatni w 1932 r. W Czechosłowacji krótko w roku 1947. W Polsce ostatni raz wolne wybory odbyły się w 1938 r. Biorąc pod uwagę przyjęty niegdyś próg wieku wyborczego 21 lat, obecni siedemdziesięcio- lub nawet osiemdziesięciolatkowie to obecnie najmłodsi wyborcy w Polsce, posiadający osobiste doświadczenia polityczne.

W czasach komunizmu wszystko zdawało się jasne: uczestniczo w wyborach lub nie. Aby odmówić udziału w głosowaniu w Niemieckiej Republice Demokratycznej, Czechosłowacji, Polsce i na Węgrzech konieczna była odwaga. Alternatywą pozostawało pójście na wybory i zakreszenie czegokolwiek, zniszczenie karty do głosowania lub oddanie głosu nieważnego, co również stanowiło swoistą formę sprzeciwu.

Obecnie obywatele byłego bloku wschodniego, dzisiejsi mieszkańcy suwerennych republik, mają możliwość uczestniczenia w różnych wyborach: komunalnych, regionalnych, parlamentarnych. Pozostaje jedynie kwestia ich gotowości do podejmowania decyzji. Brakuje zwyczaju prowadzenia debat politycznych, sami politycy posiadają niewystarczającą wiedzę o polityce, a wyborcy chcą naturalnie być Europejczykami, ale wzorem dla ich życiowych aspiracji nie jest rybak z Grecji, lecz zamożny posiadacz paryskiego salonu. Swoje dążenia pragną zrealizować natychmiast, bez względu na trudną sytuację w Europie od 1945 r.

Wszyscy obywatele tych krajów są dziś wolni i upoważnieni do posiadania dowolnej opinii, jej wyrażania i szerzenia. Wolność słowa w Polsce jest ogromna, być może większa niż chociażby w Anglii, gdzie istnieją pewnie granice i nie jest dopuszczalne wyrażanie obraźliwych opinii o królowej. Tymczasem w Polsce dozwolone są ostre ataki na prezydenta bez obawy przed konsekwencjami. Wolność postkomunistyczna jest jednak, jak wszyscy wiemy, wolnością niebezpieczną. Upojenie wolnością to zjawisko o przejściowym działaniu. Należy więc zapytać, co przysądzie później? Jak powinno być wychowywane społeczeństwo?

Ogromną rolę, zwłaszcza w Polsce, odgrywał dotychczas Kościół katolicki. Jako czynnik oporu był w naszym kraju instancją łączącą różne siły społeczne, był azylem skupiającym ludzi o odmiennych poglądach, także niewierzących i agnostyków. Kościół przez lata – w ostatnim okresie z „polskim” papieżem na czele – stanowił bowiem jedyną alternatywę: albo władza komunistyczna, albo Kościół rzymskokatolicki. Z uwagi na tak nierówną sytuację, pozycja komunistów w duchowej rywalizacji z Kościołem była nie do pozazdroszczenia.

Obecnie jednak Polacy, tak zresztą jak i obywatele wszystkich pozostałych krajów byłego bloku wschodniego, zakładają przeróż-

ne organizacje, stowarzyszenia i partie – nawet takie, jak Partia Przyjaciół Piwa. Powstają normalne, uwarunkowane poglądami ugrupowania polityczne. Pamiętajmy jednak, że dawni przywódcy stronnictw politycznych sprzed wojny mają dzisiaj 80 lat. Przy całym przywiązaniu do tradycji, wyzwolone kraje muszą w istocie od podstaw zbudować swą strukturę polityczną. Kościół nie może i nie powinien włączać się w sferę życia partyjnego, musi znaleźć nową formę zaangażowania, skupioną wokół odwiecznej służby na rzecz przekazu nauki chrześcijańskiej.

Kościół katolicki w Polsce znajduje się w bardzo skomplikowanym położeniu, gdyż z jednej strony nie powinien ingerować w bieżącą politykę, z drugiej zaś musi zabierać głos w wielu kwestiach, zwłaszcza gdy chodzi o zasadnicze pytania dotyczące hierarchii wartości w życiu społecznym.

Jako bardzo ważne moralne i intelektualne wsparcie posłużyła wszystkim katolikom w setną rocznicę encykliki *Rerum Novarum* nauka papieska zawarta w nowej encyklice *Centesimus annus* z 1 maja 1991 r., która wytycza drogę dalszego rozwoju i kreśli zarys szerszej perspektywy. Jan Paweł II pisze:

Autentyczna demokracja możliwa jest tylko w państwie prawnym i w oparciu o poprawną koncepcję osoby ludzkiej. Wymaga ona spełnienia koniecznych warunków, jakich wymaga promocja zarówno poszczególnych osób przez wychowanie i formację w duchu prawdziwych ideałów, jak i „podmiotowości” społeczeństwa, przez tworzenie struktur uczestnictwa oraz współodpowiedzialności. Dziś zwykło się twierdzić, że filozofią i postawą odpowiadającą demokratycznym formom polityki są agnostycyzm i sceptyczny relatywizm, ci zaś, którzy żywią przekonanie, że znają prawdę, i zdecydowanie za nią idą, nie są, z demokratycznego punktu widzenia, godni zaufania, nie godzą się bowiem z tym, że o prawdzie decyduje większość, czy też, że prawda się zmienia w zależności od zmiennej równowagi politycznej. W związku z tym należy zauważyć, że w sytuacji, w której nie istnieje żadna ostateczna prawda, będąca przewodnikiem dla działalności politycznej i nadająca jej kierunek, łatwo o instrumentalizację idei i przekonań dla celów, jakie stawia sobie władza. Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm.

Kościół nie zamyka bynajmniej oczu na niebezpieczeństwo fanatyzmu czy fundamentalizmu tych ludzi, którzy w imię ideologii

uważającej się za naukową albo religijną czują się uprawnieni do narzucania innym własnej koncepcji prawdy i dobra. *Prawda chrześcijańska* do tej kategorii nie należy. Nie będąc ideologią, wiara chrześcijańska nie sądzi, by mogła ująć w sztywny schemat tak bardzo różnorodną rzeczywistość społeczno-polityczną i uznaje, że życie ludzkie w historii realizuje się na różne sposoby, które bynajmniej nie są doskonałe. Tak więc metodą Kościoła jest poszanowanie wolności przy niezmiennym uznawaniu transcendentnej godności osoby ludzkiej.

Wolność jednak w pełni jest dowartościowana jedynie poprzez przyjęcie prawdy: w świecie bez prawdy wolność traci swoją treść, a człowiek zostaje wystawiony na pastwę namiętności i uwarunkowań jawnych lub ukrytych. Chrześcijanin żyje wolnością (por. J 8, 31-32) i służy jej zgodnie z misyjną naturą swego powołania, ofiarowując innym prawdę, którą sam poznał. W dialogu z innymi ludźmi, baczny na każdy fragment prawdy, obecny w konkretnym życiu i w kulturze poszczególnych osób oraz narodów, nie przestaje potwierdzać tego, co poznał dzięki wierze i właściwemu używaniu rozumu⁶.

Nauka papieska będzie oczywiście miała znaczenie także w następnym pokoleniu, nie jest jednak gotową receptą. Koniec końców wszystko zależy bowiem od samych ludzi, także ich własna perspektywa na przyszłość. Wystarczy szczerze i w duchu prawdy stale na nowo podchodzić do istniejących problemów. Osobiście mogę jedynie powiedzieć z umiarkowanym optymizmem, że skoro narody Europy Środkowej przetrwały takie próby, jak czasy Hitlera i Stalina oraz własne zakusy głupoty i ekstremizmu w najnowszej historii, to można mieć nadzieję, że będą poszukiwać duchowych, głębokich i trwałych podstaw dla swego dalszego rozwoju także w wymiarze transcendentnym. Na pewno nie wszyscy ich obywatele, ale przynajmniej kręgi opiniotwórcze i elita.

Możemy wówczas liczyć na stworzenie nowej Europy, nie dopiero pod koniec trzeciego tysiąclecia, ale już w przeciągu jednego pokolenia.

*Perspektiven der postkommunistischen Gesellschaft
in Zentraleuropa am Beispiel Polens,
w: König und Volk. Die Demokratie im Wandel der Zeit,
(V. Österreichische Akademie Eferdinger Gespräche 1991),*

pod redakcją Heinricha Schuschnigga,
Dietera Gutmanna i Heinrich Starhemberga,
Wiedeń–Monachium 1992, s. 151-162.
Przekład Marcin Barcz.

- ¹ Wizyta kanclerza Helmuta Kohla w Polsce od 9 do 14 XI 1989 r. została przerwana w dniach 10-11 XI w związku z obaleniem muru berlińskiego. Jej najważniejszymi punktami były: Msza Pojednania w Krzyżowej, podczas której Kohl i premier Tadeusz Mazowiecki przekazali sobie pamiątkowy znak pokoju (12 XI) i podpisanie w Warszawie obszernego oświadczenia o podstawach dalszych bliższych stosunków wzajemnych (14 XI).
- ² Mowa o spotkaniu premiera Tadeusza Mazowieckiego i kanclerza Helmuta Kohla 8 XI 1990 r. we Frankfurcie nad Odrą i w Słubicach. Spotkanie w tym drugim mieście upamiętnia tablica, odsłonięta 28 X 2010 r., zaś w dwudziestą rocznicę wydarzenia, 8 XI 2010 r., Tadeusz Mazowiecki odebrał w Warszawie dyplom honorowego obywatela Słubic.
- ³ Wizyta prezydenta Republiki Federalnej Niemiec Richarda von Weizsäckera w Polsce w dniach 2-5 V 1990 r. była pierwszą wizytą prezydenta Niemiec w Polsce.
- ⁴ Wizyta we Francji w dniach 2-5 X 1985 r. była pierwszą wizytą zagraniczną sekretarza generalnego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Michaiła Gorbaczowa.
- ⁵ Andriej Sacharow, zwolniony z zesłania w grudniu 1986 r., uczestniczył 10 XII 1988 r. w Paryżu w obchodach 40. rocznicy proklamowania Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka (obok m.in. Lecha Wałęsy i jego doradcy, Bronisława Geremka).
- ⁶ *Encykliki Ojca Świętego Jana Pawła II*, wyd. 2 uzupełnione, Kraków 2000, s. 683-684.

Fazit: Der Mensch

// Po pierwsze: człowiek

(REFERAT WYGŁOSZONY W JĘZYKU NIEMIECKIM NA 56. ŚWIATOWYM
KONGRESIE MIĘDZYNARODOWEGO PEN CLUBU)
(WIEDEŃ, 3-8 XI 1991 R.)

Francuski historyk i polityk średniego pokolenia, Jacques Rupnik¹, przedstawił przed kilkoma miesiącami w swym historyczno-politycznym eseju o schyłku komunizmu i odrodzeniu dążeń narodowych w Europie Wschodniej hipotezę głoszącą, że „komunizm podobny jest do czyścica, z którego narody we wschodniej części Europy wychodzą z doświadczeniem czterdziestu lat oporu”. Stanowić to ma prawdziwą szkołę demokracji, która jako jedyna jest w stanie zintegrować siły nacjonalistyczne. W istocie, doświadczenia wyniesione z walki o prawa człowieka – „Solidarność” w Polsce, „Karta 77” w Czechosłowacji, opozycja demokratyczna na Węgrzech, wzmocniły w tych krajach przywiązanie do pluralizmu i pozwoliły ustanowić nowe więzy między narodami poróżnionymi przez przeszłość i reżim komunistyczny.

Zwolennicy wspomnianej hipotezy – hipotezy czyścica – wskazują na to, że

obecne społeczeństwa wschodniej Europy bardzo różnią się od tych samych społeczeństw z okresu komunizmu i podkreślają słusznie, że demokratyczny charakter rewolucji pokojowych z 1989 r., podobnie jak w latach 1848 czy 1918, skupia w sobie uzasadnione dążenia narodowe.

Jaki więc będzie dalszy los ludzi w nowych demokracjach? Pierwsza odpowiedź brzmi: ich los będzie ciężki, naznaczony długotrwałymi, ostrymi bólami porodowymi. Bóle są nie do unik-

nięcia podczas każdego porodu, można je co najwyżej łagodzić. Optymistycznie nastraja jednak fakt, że aktu narodzin nie da się cofnąć. Do pewnego momentu proces ten można było ewentualnie udaremnić, lecz obecnie jest on już sprawą dokonaną i nieodmienne, mimo iż wszystkie uczestniczące w przemianach kraje, także Niemcy, stoją przed wielkimi problemami. Widać to w Polsce i na Węgrzech czy w Czechosłowacji, ale również w Bułgarii i Rumunii, a wreszcie też w wielu częściach byłego Związku Radzieckiego.

Najważniejszy problem we wszystkich wyzwolonych krajach stanowi czynnik ludzki. W wielu przypadkach właśnie czynnik ludzki zawodzi. Zawodzi tolerancja, zawodzi solidarność międzyludzka. Społeczeństwa nie są przyzwyczajone do życia bez politycznego protektoratu. Obywatele oczekują wszystkiego od państwa, sami zaś nie są gotowi do ponoszenia ofiar. Zjawiska te dadzą się zauważyć tak w moim kraju, Polsce, jak i w Czechosłowacji lub na Węgrzech. Ludzie są zmęczeni i często nastawieni pesymistycznie. Wycofują się w życie prywatne. Odpadło wsparcie ze strony państwa. Brak stypendiów i dofinansowania odbija się negatywnie na kulturze, literaturze i filmie. Wydawać się to może problemem ubocznym, ale wpływa przecież na codzienną perspektywę. Działalność Kościołów nie jest wszędzie jednolita.

Rozrachunki z komunizmem pociągnęły za sobą także spuściznę myśli socjaldemokratycznej. Oznacza to, że razem z marksizmem, leninizmem i stalinizmem, odrzucono też zdrowe socjalne idee skłonnych do reform socjaldemokratów. Chodzi tu o absolutny psychiczny sprzeciw – zjawisko towarzyszące początkom społecznej kontestacji.

Jak dalece ludzie są otwarci i zdolni do konstruktywnego współtworzenia nowego demokratycznego porządku, do którego przecież sami dążyli? Od kogoś, przez wiele miesięcy obłożnie chorego, nie oczekuje się pełni sił. Dlaczego więc oczekujemy tego od narodów, które przez ponad 45 lat – w przypadku byłej NRD jeszcze dłużej – pozbawione były możliwości normalnego funkcjonowania? Normalnego, oznacza tu: demokratycznego, otwartego, świadomego politycznie itp.

Skąd ludzie ci w godzinie „zero” mieliby raptem wziąć zdolność dorównania pod tym względem Zachodowi? Jest to zupełnie nie-

możliwe. Czy ludzi tych uważamy za bohaterów? Na tutejszych ulicach, podobnie jak na ulicach Francji, Anglii lub Niemiec nie widzę przechadzających się milionów bohaterów. Dlaczego zatem mielibyśmy doszukiwać się ich w Budapeszcie, Pradze, Warszawie, Sofii czy wręcz w Moskwie albo Petersburgu?

Pomimo tego, czynnikowi ludzkiemu przypada decydujące znaczenie w budowie społeczeństwa demokratycznego. Wolność można osiągnąć w mgnieniu oka, kiedy padają mury zniewolenia. Z jaką jednak wolnością mamy wówczas do czynienia? Z wolnością swobodnego wyrażania poglądów? Z wolnością atakowania i pomawiania innych? Z wolnością neofaszystowskich, wrogich wobec obcych czy antysemickich patologii? Czy raczej z wolnością podejmowania mądrych decyzji politycznych? Tej ostatniej nie osiągniemy na pewno z dnia na dzień. Wymaga ona bowiem wychowania, wykształcenia obywateli do nowych zasad, a co to może lub powinno oznaczać, pozostaje kwestią otwartą dla nas wszystkich, pracujących piórem.

Nie dostrzegam wprawdzie groźby powrotu komunizmu, nieważne pod jaką postacią: maoistowską, trockistowską, stalinowską czy jakąkolwiek inną. Istnieje jednak niebezpieczeństwo powstania nowych frontów między narodową, szowinistyczną ciasnotą horyzontów z jednej strony, a tolerancją, liberalizmem i chrześcijaństwem z drugiej. Istnieją z pewnością ważne i szlachetne motywacje, uznawane przez nas wszystkich, wierzących lub nie. Ale te pozytywne motywy działania niekoniecznie zakorzenione są w myśleniu milionów ludzi z niedawno wyzwolonych krajów.

We wszystkich tych społeczeństwach istnieje niebezpieczeństwo wzrostu autorytarnego zagrożenia w przypadku dalszego pogarszania się sytuacji gospodarczej. Nie da się też przeoczyć zmęczenia wielu ludzi, rozdartych między aktywnym współuczestniczeniem w budowaniu nowego porządku, a wolą biernego wyczekiwania. Niejeden myśli: lepiej otrzymywać złą zapłatę za złą pracę, niż podejmować szczególny wysiłek dla osiągnięcia wyższych zarobków, zwłaszcza przy trudno przewidywalnych efektach. Podobne głosy słyszę z Czechosłowacji, z Węgier, z Polski. Dobiegają one nie tyle z kręgów inteligencji, ile raczej

z szeregów przeciętnych obywateli, także ze wsi. Po co gromadzić majątek, płacić podatki, ściągać na siebie kłopoty? Lepiej otrzymywać kiepskie wynagrodzenie za kiepsko wykonaną pracę. Takiego nastawienia, będącego następstwem całego nieszczęśliwego procesu w krajach Europy Wschodniej nie zmienimy w przeciągu kilku miesięcy.

Co jest powodem niskiego udziału w wyborach społeczeństw byłego bloku wschodniego? Oczywiście, ludzie są niezadowoleni. Nie są też jednak gotowi i zdolni do tak dalece logicznego rozumowania, aby pojąć, że dla dokonania zmian na lepsze muszą sami wywrzeć wpływ na politykę we własnej gminie czy we własnym mieście. Wiele osób nie zauważa tego politycznego uwarunkowania, tego związku przyczynowo-skutkowego w swym życiu. Na analogiczne zjawisko napotykamy w niemal wszystkich naszych krajach. W konsekwencji nowo wybrane parlamenty i rządy posiadają jedynie wąski fundament i niedostateczną reprezentację.

Kolejnym zagadnieniem jest populizm. Przejawy wrogości wobec obcych występują na pewno nie tylko w byłej NRD. Dzięki Bogu w Polsce nie są dokonywane ataki na niemieckie autokary i pobicia Niemców. Ale zdarza się to Cyganom. Dzięki Bogu nie dochodzi do pogromów Żydów, ale na Węgrzech, a także w Polsce, padają okazjonalnie obrzydliwe antyżydowskie hasła. Ma to miejsce wprawdzie nieczęsto, złem jest jednak już sam fakt, że w ogóle się zdarza, posiada bowiem pewne działanie sygnałne.

Ogromne znaczenie przypada z tego powodu edukacji politycznej, która musi zostać istotnie wzmocniona w szkolnych programach nauczania. W przeciwnym razie istnieje groźba zastąpienia dotychczasowej walki klas nową formą narodowej walki rasowej, czy też innymi przejawami obłąkańczych rodzajów agresji wobec człowieka. Tendencje takie muszą być dławione w zarodku.

Jeszcze krótko parę słów o sytuacji na Bałkanach. Żyjemy zaledwie kilka godzin jazdy samochodem od granicy ze Słowenią. Dlatego mnie osobiście i nas wszystkich w Wiedniu wydarzenia w Jugosławii interesują w większym stopniu, niż kogoś innego w bardziej oddalonym miejscu. Co motywuje kraje bałkańskie w ich dążeniu do suwerenności? Czy nie jest tak, że ułatwia ono – jakkolwiek paradoksalnie może to brzmieć – drogę do zjedno-

czoney Europy? Skoro Słoweńcy i Chorwaci, posiadający bardzo długą historię – niemal tak długą jak Rzym – nie chcą żyć pod serbskim panowaniem, narzuconym im dopiero w roku 1918, czemu my mielibyśmy decydować za te społeczeństwa co dla nich samych najlepsze? Czy nie należałoby raczej opowiedzieć się za wolną konfederacją wybraną przez owe kraje? Eduard Szewardnadze² powiedział niedawno w Wiedniu, że lepiej, aby Związek Radziecki miał dziewięć republik zjednoczonych z ich własnej woli, niż piętnaście z przymusu. To słowa rosyjskiego patrioty! Bez wątpienia lepiej będzie, jeśli kraje bałkańskie znajdą drogę współpracy, niż gdyby miały się wzajemnie wymordować.

W każdym przypadku należy oczywiście czynić starania dla zapobieżenia krwawym konfliktom. Wszyscy oddawaliśmy hołd metodom pokojowym: w Berlinie, Warszawie, Budapeszcie, Pradze. Uznaję też inne metody pokojowego oporu: demonstracje, listy, oświadczenia, odezwy w Lublanie czy Zagrzebiu, a z drugiej strony sprzeciwiam się użyciu siły przez generałów, będących w większości po dziś dzień komunistami i stalinowcami. To samo uczyniliby chętnie pewni generałowie w Moskwie lub na Syberii wobec własnych rodaków.

Proszę wziąć jako przykład trzy małe republiki: Litwę, Łotwę i Estonię, które do roku 1940 dobrze współpracowały i były zdolne do egzystencji. Nikt w Europie nie miał zastrzeżeń co do tych małych krajów, dobrze się wzajemnie rozumiejących, bo suwerennych i nie zmuszonych pod presją do współistnienia w ramach jednego państwa. Dlaczego w przyszłości Słoweńcy i Chorwaci nie mieliby współpracować z innymi, jak niegdyś Litwini, Łotysze i Estończycy? Nikt nie rozważa wcielenia Luksemburga do Belgii czy Holandii. Dlaczego więc z taką łatwością decydujemy o narodach, które znamy o wiele gorzej? Czy dlatego, że są małe, czy też dlatego, że dalej położone? Nieduża wielkość państwa może być zaletą. W Polsce do końca bieżącego dziesięciolecia będzie mieszkało 40 milionów obywateli. Nie oznacza to, że będziemy szczęśliwsi. Indie i Chiny posiadają o wiele więcej mieszkańców, co nie stanowi powodu, bym im zazdrościł.

Droga do demokracji, leżąca przed społeczeństwami dawnego bloku wschodniego jest bolesna. Dlatego ludziom należy się

pomoc, nie na podstawie jednej recepty, ale z uwzględnieniem ich oczekiwań i żądań, pod warunkiem, że są one uzasadnione i demokratyczne. Innej drogi nie widzę.

Na zakończenie proszę pozwolić mi na akcent osobisty. Od prawie 50 lat pracuję piórem – jako dziennikarz, pisarz, historyk. Nie były to lata łatwe dla Europy. Nie był to też czas pozbawiony problemów dla Ameryki czy Azji. Łącznie osiem lat spędziłem za kratami więziennymi; to dość powszechne doświadczenie w Europie Środkowej i Wschodniej za Hitlera i Stalina. Dyktatorzy mnie nie lubili. Można rzec: z pełną wzajemnością...

Jakie pożyteczne doświadczenia starsze pokolenie pisarzy może przekazać młodszemu pokoleniu? Po pierwsze – w ostatecznym rozrachunku nie ma na świecie lepszego rozwiązania, niż rozwiązanie pokojowe. Każde inne przynosi człowiekowi cierpienie, a niczego nie rozwiązuje. Po drugie – człowiek, cierpiący, omylny, walczący, umierający, jest najważniejszy na tej Ziemi. Nie człowiek zwyczajny i silny, ale poszukujący, słaby, uciskany, jest naszym głównym tematem i naszym zadaniem. Człowiek – kruchy owoc boskiego stworzenia. Nasz brat. To jemu poświęcamy siłę naszego słowa.

Fazit: *Der Mensch*

// *Sum Total: Man,*

w: Neue Strukturen der Freiheit.

Literatur als Diagnose und Therapie.

New Structures of Freedom.

Literature as Diagnosis and Therapy.

56. *Weltkongress des Internationalen P.E.N.,*

Wien, 3. bis 8. November 1991,

Wiedeń 1992, s. 76-80 (tekst w języku niemieckim),

s. 80-83 (przekład na język angielski).

Przekład z języka niemieckiego Marcin Barcz.

¹ Mowa o artykule *Post-comunismo e questione nazionale*, ogłoszonym na łamach wydawanego w Rzymie czasopisma „Lettera Internazionale” (I-III 1991, nr 27). Jego autor, Jacques Rupnik (ur. 1950), historyk i politolog, był wówczas pracownikiem naukowym Centre d'Etudes et de Recherches Internationales (CERI, Centrum Międzynarodowych Studiów i Badań) w Paryżu.

² Eduard Szewardnadze (ur. 1928), minister spraw zagranicznych ZSRR (1985–1990), później prezydent Gruzji (1995–2003).

**Mowa dziękczynna wygłoszona
w języku niemieckim
po otrzymaniu dyplomu obywatelstwa
honorowego Izraela**

(WIEDEŃ, 10 II 1992 R.)

10 lutego 1992 r. ambasador Izraela przy Organizacjach Narodów Zjednoczonych w Wiedniu Peter Aran¹ przekazał publicznie – w obecności kilkuset osób – Władysławowi Bartoszewskiemu dyplom nadania mu obywatelstwa honorowego Izraela następującej treści:

W uznaniu ratowania życia Żydów w okresie Holokaustu w pełnej świadomości niebezpieczeństw i ryzyka, zgodnie z postanowieniem Knesetu z 25 marca 1985 r., nadaje się niniejszym Władysławowi Bartoszewskiemu obywatelstwo honorowe Izraela. To uznanie jest wyrazem szacunku i wdzięczności, ugruntowanych w narodzie Izraela wobec Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, dzięki których szlachetnym czynom światło człowieczeństwa świeciło w okresie nocy panowania hitlerowskiego w Europie².

Laudatio wygłosił prezes PEN Clubu Austrii prof. dr Aleksander Giese.

Odpowiedź wyróżnionego podajemy w przekładzie z oryginału niemieckiego.

Prawdą jest, że nadanie obywatelstwa jednego państwa obywatelowi drugiego państwa, który jest na dodatek ambasadorem w trzecim państwie, jest przypadkiem rzadkim, jeżeli nie unikalnym. Jest jednakże również prawdą, że historyczne więzi między żywiołem żydowskim a polskim oraz rola żydostwa wschodniego na szerokim obszarze między Niemcami i Rosją miały ogromne

znaczenie dla historii żydostwa europejskiego, jak również dla historii mojego Kraju – Polski.

1 września 1939 r. ówczesną Polskę zamieszkiwało 3,5 miliona Żydów wobec prawie 22 milionów Polaków chrześcijan. Większość tych ludzi przez stulecia żyła w jednym państwie, ze sobą lub obok siebie, mniej lub bardziej pokojowo.

W ostatnich dwóch latach przed wybuchem drugiej wojny światowej udział ludności żydowskiej w ogólnej liczbie ludności Polski (w której skład wchodził również Ukraińcy, Białorusini i Niemcy) wynosił 8 do 10 proc. Liczby te nie podlegały zbyt dużym wahaniom, co świadczyło o względnej stabilności żydowskiej wspólnoty etnicznej i religijnej w tej części Europy. Jednocześnie należy zauważyć, że polscy Żydzi byli nie tylko procentowo, lecz również w liczbach bezwzględnych największą grupą w ówczesnej Europie. Odpowiednio duże było zatem znaczenie polskich Żydów w światowej diasporze.

Głęboka religijność i stały rozwój duchowy, znajdujące wyraz w zaangażowaniu społecznym, artystycznym, naukowym i wreszcie też politycznym, zapewniały polskim Żydom wyjątkową pozycję na tle europejskiej społeczności żydowskiej, pomimo iż ich sytuacja gospodarcza była dalece gorsza od warunków, w jakich żyli bracia w wierze z uprzemysłowionych krajów Zachodu (Niemiec, Anglii czy Francji). Specyficzne przywiązanie znaczącej części zamieszkujących Polskę Żydów do tradycji posiadało z pewnością pozytywne znaczenie dla diaspory żydowskiej i było niewyczerpalnym źródłem trwałych religijno-obyczajowych wartości.

W swej ogromnej większości polscy Żydzi odrzucili tendencje asymilacyjne, uznawali bowiem swój odizolowany byt za nadrzędną wartość, której pozostawali wierni. Wcale nie mała grupa ortodoksyjnych Żydów była wręcz zwolennikami zupełnej izolacji od nieżydowskiego otoczenia. Również Polacy generalnie nie starali się pokonywać barier obcości.

W odrodzonej po roku 1918 Rzeczypospolitej Polskiej nie ustąpiono z pozycji izolacjonizmu, chociaż Żydzi byli reprezentowani w parlamencie i brali udział również w innych formach życia politycznego i kulturalnego. Partie znajdujące się na pra-

wicy i w centrum polskiego krajobrazu politycznego podkreślały w swych programach i wypowiedziach obcość żydowskiej wspólnoty religijnej i jej rzekomo szkodliwą rolę w życiu gospodarczym i kulturalnym. Przeciwnie, partie wierne zasadom liberalnym oraz socjaliści odrzucali w swych programach jakiegokolwiek rozróżnienie narodowe czy wyznaniowe. Względnie wpływowe w Polsce kręgi intelektualne odrzucały w swej ogromnej większości wszelkie nacjonalistyczne czy antysemickie tendencje. Preferowały one jednakże kontakty z przedstawicielami odpowiednich żydowskich elit liberalnych.

Stanowisko dominującego w Polsce Kościoła rzymskokatolickiego było podyktowane tradycją, pełne nieufności i niewolne od stereotypów i uprzedzeń, wynikających z wielusetletniego antagonizmu między chrześcijaństwem a żydostwem – antagonizmu, który trwał do II Soboru Watykańskiego, a dokładniej do dnia 28 października 1965 r., dnia o historycznym znaczeniu, kiedy to Ojcowie Soboru przyjęli deklarację *Nostra Aetate*.

Jednakże w katolickich kręgach intelektualnych zarysowała się pod koniec lat dwudziestych i trwała przez lata trzydzieste tendencja zmierzająca do dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Nie był to co prawda ruch zbyt wielki ilościowo, ale znalazły się w nim osobistości wysokiej rangi moralnej i intelektualnej. Część z nich odegrała podczas drugiej wojny światowej pozytywną rolę w kontynuacji rozpoczętego dzieła.

Kilka pokoleń wykształconych Polaków wie, że najwybitniejszy poeta literatury polskiej, Adam Mickiewicz, szczególnie cenił i czcił swą matkę o żydowskim pochodzeniu, dając temu wyraz w swych utworach.

Jako polski historyk jestem wdzięczny Żydom polskim za ich wielki twórczy wkład **w rozwój polskiej gospodarki, przemysłu, przedsiębiorczości, handlu**, w ukształtowanie wysokich wartości kultury mego Kraju, w szczególności w dziedzinie muzyki i literatury, ale również za historyczne zasługi Żydów polskich dla polskiej nauki. Jako warszawiak jestem szczęśliwy i dumny z tego, że Isaac Bashevis Singer, w 1978 roku laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, pisał jako młody dziennikarz dla prasy żydowskiej w moim rodzinnym mieście Warszawie i do końca życia oprócz jidysz znał również język polski.

Niewyobrażalna katastrofa drugiej wojny światowej skonfrontowała wszystkich ludzi mego pokolenia z nieprzewidzianą sytuacją, która przekraczała wyobraźnię cywilizowanych narodów. Niedawno obchodziliśmy smutną rocznicę tzw. konferencji w Wannsee z 20 stycznia 1942 r., która położyła podwaliny organizacyjne i ustaliła polityczną akceptację establishmentu Trzeciej Rzeszy dla trwającego już od wielu miesięcy biologicznego unicestwienia całego narodu żydowskiego.

W obliczu straszliwych wydarzeń w kolejnych miesiącach 1942 r. i później utworzyły się w okupowanej Polsce małe grupy ludzi dobrej woli, które rozpoczęły w Warszawie, Krakowie, Lwowie i innych miejscach rozpaczliwą akcję ratowania śmiertelnie zagrożonych Żydów. Jako jeden ze współzałożycieli tajnego Komitetu Pomocy Żydom, a potem Rady Pomocy Żydom w Warszawie w 1942 r. (historykom w Polsce, Izraelu i USA lepiej znanej pod kryptonimem „Żegota”) dobrze pamiętam z jednej strony setki przykładów niezmiernego nieszczęścia i cierpień, z drugiej strony ciche bohaterstwo wielu ludzi, lecz również wielu innych, którzy zawiedli. Nie chcę być źle zrozumiany: bałem się wtedy często i rozumiem uczucie strachu. Lecz zasada miłości bliźniego zobowiązuje chrześcijanina do zaangażowania się na rzecz tego bliźniego. Za to zaangażowanie wielu Polaków – wieleset [sic! – ponad 600] przypadków jest dotychczas udokumentowanych – zapłaciło życiem, ponieważ na Wschodzie za pomoc Żydom była tylko jedna kara – kara śmierci.

Wszystko, co zrobiono, co zrobili intelektualiści i chłopci, robotnicy i studenci, zakonnice i księża, różnie motywowani ludzie, aby pomóc, było tylko kroplą w morzu nieszczęścia. Nawet jeżeli wspomniana Rada uratowała kilka tysięcy ludzi, to w przypadku tysięcy i setek tysięcy innych pomoc nie powiodła się albo była od samego początku niemożliwa.

W obliczu postępującej od 1942 roku zagłady stłoczonych w gettach Żydów uznaliśmy za kwestię najwyższego znaczenia zaalarmowanie opinii światowej i wywarcie nacisku tej opinii światowej na Niemcy. Tajne radiostacje, którymi dysponowała Armia Krajowa i Delegatura Rządu na Kraj, wielokrotnie w trakcie roku 1942 przekazywały informacje o wydarzeniach w Polsce – do Londynu.

Ogromną rolę jednakże odegrała podróż specjalnego kuriera Armii Krajowej z Warszawy do Anglii. Nazywał się Jan Kozielewski, a działał pod pseudonimem Jan Karski (obecnie emerytowany profesor Georgetown University w Waszyngtonie)³. Był on świadkiem likwidacji warszawskiego getta latem 1942 roku i masowych transportów do Treblinki. Wziął też udział w konferencji z udziałem przedstawicieli tajnych organizacji żydowskich w Warszawie, którzy poinformowali go wyczerpująco o sytuacji i przekazali mu ustne **wskazówki** dla mandatariuszy w Anglii. Poznałem Karskiego osobiście pod koniec sierpnia albo we wrześniu 1942 r., a więc jeszcze w czasie akcji **likwidacji getta**. W naszej rozmowie wyraźnie odczułem jego ogromne poruszenie tą straszną zbrodnią.

Karski przybył w listopadzie 1942 r. cały i zdrowy do Londynu, gdzie przyczynił się do natychmiastowej publikacji Czarnej Księgi i podjął energiczne kroki w celu uświadomienia kierowniczym kołom politycznym Wielkiej Brytanii strasliwych wydarzeń w Polsce. Prowadził rozmowy nie tylko z premierem polskiego rządu emigracyjnego, [Władysławem] Sikorskim, lecz także z Winstonem Churchillem, ze znakomitymi osobistościami świata intelektualnego Zachodu, jak H. [erbert] G. [eorge] Wells, A. [rthur] Koestler i inni.

27 listopada 1942 r., wkrótce po przybyciu Karskiego do Anglii, polska Rada Narodowa w Londynie zaprotestowała w przyjętej jednogłośnie uchwale przeciwko masowej eksterminacji ludności żydowskiej w Polsce i zażądała interwencji aliantów⁴. 10 grudnia 1942 r. urzędujące w Londynie polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wystosowało do rządów państw koalicji notę, w której wskazano na konieczność

nie tylko potępienia zbrodni, [...] ale także znalezienia skutecznych środków, po których można by się spodziewać, że powstrzymają Niemcy od dalszego stosowania metod masowej zagłady [...]⁵.

Na skutek tego rządy trzech mocarstw – USA, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego, jak również Komitet Wolnej Francji opublikowały 17 grudnia 1942 r. jednogłośnie przyjętą deklarację,

w której zapowiadały mordercom najsurowsze kary po zakończeniu wojny⁶. Nie znaleziono jednak skutecznych środków, aby ratować Żydów. **Nie podjęto też szczególnego wysiłku w celu ich poszukiwania.** W tym czasie żyła jeszcze połowa przyszłych ofiar...

W Palestynie, a później w nowym państwie żydowskim Izraelu, po zakończeniu drugiej wojny światowej dziesiątki tysięcy polskich Żydów znalazło schronienie i nową ojczyznę. W początkowym stadium zakładania i rozwoju tego państwa wielu byłych Żydów polskich – nie tylko David Ben Gurion⁷ – odegrało historyczną lub też istotną rolę.

Jednak również z innych powodów Izrael był dla świadomych Polaków państwem szczególnym, odmiennym od pozostałych. Chciałbym w tym miejscu zacytować moje własne słowa wypowiedziane w 1986 roku w kościele św. Pawła we Frankfurcie nad Menem w podziękowaniu za przyznaną mi Nagrodę Pokojową Księgarzy Niemieckich:

Jest mi szczególnie miło, że moim bezpośrednim poprzednikiem, laureatem Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego 1985 był Teddy Kollek, burmistrz Jerozolimy, która w moim odczuciu była i jest nie tylko świętym miastem trzech religii – mazaizmu, chrześcijaństwa i islamu, ale Miastem całej ludzkości⁸.

Ziemię biblijną, ziemię proroków, ojczyznę niegdyś prześladowanych i ich potomków, należy widzieć jako kraj naszej nadziei: nadziei na pokój, na zdolność wspólnej egzystencji różnych ludzi, na lepszy XXI wiek, mimo iż w obecnej chwili droga wiodąca nas w tym kierunku wydaje się jeszcze długa.

Wdzięczność to bezsprzecznie jedno ze szlachetniejszych uczuć, zaś wdzięczność praktykowana nieprzerwanie jest wychowawcza, działa jako wzór: Izraelczycy dają nam jedyny w swym rodzaju przykład wdzięczności. Już w sierpniu 1953 r., pięć lat po założeniu państwa, izraelski parlament, *Kneset*, uchwalił jednogłośnie ustawę o pamięci męczenników i bohaterów Holokaustu – *Yad Vashem* (*Yad Vashem* – słowo z księgi Izajasza 56, 6 [sic! – 5], oznacza: pomnik i imię). W paragrafie 1. punkt 9. tej ustawy czytamy, że nowy państwowy instytut⁹ zostaje utworzony między

innymi dla zachowania pamięci o „Sprawiedliwych wszystkich narodów, którzy narazili własne życie, by ratować Żydów”.

W maju 1962 r. w Alei Sprawiedliwych na Górze Pamięci (Har Hazikaron) w Jerozolimie pierwsze osoby posadziły symboliczne drzewka z tabliczkami, na których znajdowały się ich nazwiska i nazwa kraju pochodzenia.

W październiku 1963 r. miałem zaszczyt i przyjemność wysłuchania *laudatio* Gideona Hausnera – starego Galicjanina ze Lwowa, byłego Prokuratora Generalnego Izraela¹⁰ – oraz zasadzenia drzewka w imieniu Rady Pomocy Żydom¹¹.

Dzisiaj w Parku Sprawiedliwych (to już więcej niż aleja) rośnie około 9 000 drzew z całej Europy. Ponad 3 500 nosi nazwiska moich rodaków, indywidualnie albo całych rodzin¹². Jest wiele drzew holenderskich, duńskich, francuskich, również austriackich i niemieckich. A jest to przysłowiowy wierzchołek góry lodowej, ponieważ wiele nazwisk tych zasłużonych ludzi na zawsze pozostanie nieznanymi. Ku ich pamięci wzniesiono kilka lat temu na terenie Yad Vashem Pomnik Nieznanym Sprawiedliwych.

Zawsze, gdy się tam znajduję, przypominam sobie mądrość Biblii: gdy Bóg groził zniszczeniem miasta Sodomy za popełnione tam nieczyste czyny, Abraham wstawił się za jego mieszkańcami, a Bóg wysłuchał jego błagania i był gotowy oszczędzić miasto dla dziesięciu sprawiedliwych (Rdz 18,32). Wierzę głęboko, że ci, którzy w tych strasznych latach mieli możliwość przeciwstawić się zbrodni, jak i ci, którzy zostali uratowani przed zagładą i którzy przywołują w naszej pamięci czyny płynące z solidarności człowieka wobec człowieka, w pewien sposób przyczynili się i przyczyniają do tego, że świat, nawet po Oświęcimiu, nie pozostaje bez nadziei.

Czy uczymy się z historii? Szczerze mówiąc, nie wiem, czy tak jest. Ale wiem, że my wszyscy, ludzie myślący, jesteśmy zobowiązani zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby przeciwstawić się siłom zła, ciemnoty, agresji, nienawiści – również nienawiści wobec Żydów, a zatem nienawiści wobec ludzi.

I tak w pięćdziesiątym roku mej dziennikarskiej, a potem pisarskiej działalności, czuję się nadal zobowiązany do składania świadectwa. To zobowiązanie staram się wypełniać jako mia-

nowany członek Rady ds. Stosunków Polsko-Żydowskich przy Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej i jako wybrany przewodniczący Międzynarodowej Rady Muzeum Oświęcim-Brzezinka.

Prawda, jak najpełniejsza prawda i tylko prawda... Siły słowa nie wolno przeceniać, ale nie należy jej też w szkole, w Kościele i w domach rodzinnych lekceważyć. Pod tym względem podzielałam obawy i refleksje mojej czcigodnej koleżanki i przyjaciółki pani prof. dr Eriki Weinzierl, która w podsumowaniu swej istotnej książki *Zbyt mało Sprawiedliwych. Austriacy i prześladowanie Żydów 1938–1945 (Zu wenig Gerechte. Österreicher und Judenverfolgung 1938–1945)*¹³ napisała:

Nadrzędnym celem każdego wysiłku wychowawczego podejmowanego przez społeczeństwo, Kościoły i państwo, powinno być budzenie i utrwalenie przekonania, że prawa człowieka nigdy i nigdzie nie mogą być łamane, że powinny być broniące przez wszystkich dla dobra wszystkich, a początkiem tej obrony jest język. W mądrościach Salomona czytamy przecież: „śmierć i życie są w mocy języka”. Tylko konsekwentne i nieustraszone wychowanie w tym kierunku pozwala mieć nadzieję, że w przyszłych pokoleniach oblicze człowieka nie będzie zależne tylko od pojedynczych Sprawiedliwych.

Wielce szanowny i drogi prezydencie PEN Clubu, profesorze Giese!

Nie czuję się właściwie politykiem i tylko w niewielkim stopniu dyplomatą. A dzisiaj, tutaj, jestem po prostu człowiekiem odczuwającym wdzięczność, człowiekiem, któremu Pan Bóg pozwolił dożyć w godności czasu nowego początku dla ludzi w tej części świata.

Chciałbym zakończyć najważniejszym w naszych czasach słowem: Pokój na tej Ziemi! Pokój Jerozolimie! Pokój Izraelowi! Pokój nam wszystkim! Szalom!

Skrócony przekład z języka niemieckiego –
Mowa dziękczynna po otrzymaniu
obywatelstwa honorowego Izraela,
„Zeszyty Historyczne”, z. 101,
Paryż 1992, s. 200-205
 (tamże krótki wstęp od redakcji,

który wyżej powtarzamy).

Przedruk – Władysław Bartoszewski,

Moja Jerozolima, mój Izrael,

Warszawa 2004, s. 193-198.

Tekst przez nas publikowany uzupełniliśmy
według publikacji w wersji niemieckiej:

Władysław Bartoszewski,

Polen und das Judentum,

„Europäische Rundschau”,

Wiedeń, 1992, nr 2, s. 103-107,

w przekładzie Marcina Barcza

(fragmenty oznaczone wytłuszczonym drukiem).

- ¹ Uriel (Peter) Aran był wówczas *chargé d'affaires* Izraela w Austrii, bowiem Izrael za czasów prezydentury Kurta Waldheima w latach 1986–1992 nie akredytował w Austrii ambasadora.
- ² Honorowe obywatelstwo Izraela nadano Władysławowi Bartoszewskiemu 15 VII 1991 r., a stosowny dyplom został wręczony pół roku później, 10 II 1992 r.
- ³ Jan Karski (właściwe nazwisko Jan Koziński) zmarł 13 VII 2000 r. w Waszyngtonie.
- ⁴ Zob. *Polacy-Żydzi. Polen – Juden. Poles – Jews. 1939–1945. Wybór źródeł. Quellenauswahl. Selection of documents*, opracowanie Andrzej Krzysztof Kunert, przedmowa Władysław Bartoszewski, Warszawa 2001, s. 79, 80 (przekład na język niemiecki), 81 (przekład na język angielski).
- ⁵ Zob. tamże, s. 93-100 (tekst oryginalny w języku angielskim), 101-104 (przekład na język polski, tu na s. 104 nieco inne brzmienie cytowanego fragmentu), 104-107 (przekład na język niemiecki).
- ⁶ Deklaracje podpisały rządy 12 państw alianckich: Belgii, Czechosłowacji, Grecji, Holandii, Jugosławii, Luksemburga, Norwegii, Polski, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, ZSRR oraz Komitet Wolnej Francji. Tekst deklaracji – zob. tamże, s. 110-111 (tekst oryginalny w języku angielskim), 111 (przekład na język polski), 111-112 (przekład na język niemiecki).
- ⁷ Dawid Ben Gurion (1886–1973), urodzony w Płońsku, pierwszy premier rządu Izraela w latach 1948–1953 i ponownie 1955–1963.
- ⁸ Przemówienie *Kein Frieden ohne Freiheit // Nie ma pokoju bez wolności*, wygłoszone po otrzymaniu Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego 5 X 1986 r. we Frankfurcie nad Menem – zob. w tomie 4, s. 216-231 (fragment cytowany – s. 217).
- ⁹ Pełna nazwa *Yad Vashem* – Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu *Yad Vashem*.
- ¹⁰ Gideon Hausner (1915–1990), urodzony we Lwowie, prokurator generalny Izraela w latach 1960–1963, oskarżyciel w procesie Adolfa Eichmanna (1961), poseł do Knesetu 1965–1974 i 1977–1981.

- ¹¹ Posadzenia drzewka w Alei Sprawiedliwych w imieniu Rady Pomocy Żydom „Żegota” dokonali 28 X 1963 r. Władysław Bartoszewski i Zofia Kann.
- ¹² Obecnie w Alei Sprawiedliwych na przeszło 22 000 drzewek jest już przeszło 6 000 polskich.
- ¹³ Cytowana tu książka austriackiej historyczki Eriki Weinzierl (ur.1925) została wydana w Grazu–Wiedniu–Kolonii w 1969 r., a wznowienia ukazały się w latach 1985, 1986 i 1997.

Nie mam w sobie nic z proroka...

Rozmowa z ..., historykiem i pisarzem,
ambasadorem RP w Wiedniu

(ROZMAWIAŁA BARBARA KAZIMIERCZYK)

Barbara Kazimierczyk – Pierwsze pytanie kieruję nie do naukowca i człowieka pióra, lecz do dyplomaty. Czy jako ambasador III RP czuje się Pan Profesor „właściwym człowiekiem na właściwym miejscu”? Odczuwamy w kraju coś na kształt deficytu autorytetów moralnych z jednej strony, z drugiej – niedostatek fachowców.

Władysław Bartoszewski – Wielce niestosowną praktyką jest ocenianie siebie samego przed czasem... Mój bezpośredni przełożony, minister Skubiszewski¹, będzie miał tutaj zawsze ostatnie decydujące słowo. Trudno to czynić zwłaszcza w trakcie wypełniania obowiązków, bo przecież stolarz nie powinien mówić dobrze o swojej pracy, dopóki stół nie ma czterech nóg gotowych. Ja jeszcze pracuję, ale czy czuję się „na właściwym miejscu”, jak Pani to ujęła? No cóż, znam nieźle sprawy austriackie, interesuje mnie ten kraj i choć warszawiak z urodzenia, łapię się czasem na zgoła małopolskim, właściwym mieszkańcom dawnej Galicji, sentymencie do tej pepiniery św. pamięci CK Monarchii, jaką była Austria. I do jej metropolii zwłaszcza – był nią Wiedeń. Co zaś się tyczy „fachowców” i „autorytetów”, o jakie mnie Pani zagadnęła, nie czuję się powołany do wystawiania cenzurek ludziom urzędującym w kraju. Zweryfikuje ich czas, po prostu.

B.K. – Niedawno otrzymał Pan Profesor obywatelstwo państwa Izrael². Na dobrą sprawę nie należałoby pytać o powody: Władysław Bartoszewski to przecież jeden z głównych animatorów akcji „Żegota” w latach okupacji. Posiadacz drzewka z własnym

imieniem i nazwiskiem w Alei Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Jerozolimie, biegnącej obok urn z prochami pomordowanych w hitlerowskich obozach zagłady.

W.B. – Jest to, rzecz jasna, obywatelstwo honorowe. Gdyby było inaczej, to miałbym prawa i obowiązki – musiałbym np. płacić podatki albo służyć w armii, gdybym był młodszy. Obywatelstwo honorowe Izraela jest pewną formą – najwyższą w tamtym kraju – moralnego wyróżniania ludzi, którzy ponieśli jakieś zasługi dla Żydów w świecie, nie w Izraelu specjalnie. Chodzi tu głównie o zasługi w okresie II wojny światowej, które są oceniane i dostrzegane. Takich Polaków, jak ja, jest zresztą bardzo wielu: bo skoro Pani wspomniała o jerozolimskim Wzgórzu Pamięci i owych drzewkach, to właściwie na większości tabliczek, jakimi są oznakowane, poza imieniem i nazwiskiem konkretnego człowieka widnieje słowo: „Pologne, Poland”.

Obywatelstwem honorowym nie każdego się nagradza – może dlatego, że nie każdy z owych prawdziwie zasłużonych jest ambasadorem i pisarzem? Dość, że wiele z tych zasług pozostaje w cieniu, inne natomiast, jak to układa się w życiu, są bardziej znane. Co do mnie, nie uważam, żeby mój wkład był jakoś specjalnie godny zauważenia, natomiast władze państwa Izrael miały widocznie inną ocenę od mojej.

B.K. – Jest Pan Profesor niestychanie skromny.

W.B. – Mógłbym tu dodać tylko to, że cieszy owo dostrzeżenie trudu i ryzyka życiowego ludzi, którzy w większym zakresie organizowali w latach wojny pomoc dla prześladowanych. Cieszy, bo jest to przecież zarazem, by się tak wyrazić, wypromowanie, dowartościowanie tego nurtu w historii i tradycji polskiej, który był niewątpliwie nurtem pozytywnym z moralnego – i ogólniej, humanistycznego punktu widzenia. Dlatego też mógłbym powiedzieć, że osobiście poczytuję sobie za zaszczyt, iż ze swoją działalnością i ja też znalazłem się w tym nurcie. Mocno zakorzenionym zresztą w tradycjach Polaków – o czym już wspomniałem.

B.K. – A jednak popełnialiśmy błędy w naszej tysiącletniej historii... Nie tylko tysiącletniej zresztą; błędziliśmy już w wieku XX, w czasach najnowszych.

W.B. – Każdy naród i państwo popełniają błędy nieustannie, To znaczy, popełniają je określone grupy ludzi w imieniu i *a conto* tegoż narodu i państwa. Podobnie jak poszczególne jednostki, bo na tym – mówiąc bardzo z grubsza – polega życie. Natomiast jeśli ma Pani na myśli tę część naszego wkładu w konstelację stosunków europejskiej, jaka się wytworzyła przed Wrześniem 1939, to osobiście nie uważam, ażeby Polska popełniła tu jakieś błędy obciążające nas szczególnie. Nas, czy to jako państwo, czy też jako naród. Przeciwnie, to my, którzy pierwsi padliśmy ofiarą agresorów, potrafiliśmy natychmiast zdobyć się na opór, i kto wie, czy nie decydujący później w skali całej Europy – jeśli nie globu. „Kto wie”, to zresztą powiedziane słabo. W 1939 roku nie było takiej polityki, która mogła powstrzymać Hitlera. I nie było takiej polityki, która mogła powstrzymać Stalina. Ja w każdym razie innej polityki nie znam i nikt dotychczas na świecie nie podał recepty, jak można było powstrzymać wybuch II wojny światowej. Oczywiście, mówię tu o ostatnim okresie, a może nawet zgoda o 1939 roku. Szersze rozważania, obejmujące rozleglejszy horyzont czasowy, to temat na inną okazję.

B.K. – Powróćmy do teraźniejszości. Jak by Pan Profesor określił w krótkich słowach dzisiejszą sytuację kraju?

W.B. – Uważam, że społeczeństwo polskie wykazuje ogromną cierpliwość. Nie ma jednak doświadczeń w budowie systemu wolnej, europejskiej demokracji przy wyjściu z systemu totalitarnego. Takich doświadczeń nie ma zresztą żaden naród byłego obozu. W Rumunii, Czechosłowacji, na Węgrzech, na terenach byłej NRD dzieją się rzeczy bardzo skomplikowane, nie mówiąc już o byłym ZSRR. Ale to oczywiście nie powinno nas uspokajać ani pocieszać bo odpowiadamy za nasz kraj, a nie za tamte. Ja bym nie przypisywał żadnych specjalnych cech naszemu społeczeństwu. Jest splot szeregu niekorzystnych okoliczności i mamy do czynienia z *quantum* cierpień, trudności, które nadmiernie obciążają miliony rodaków. Tylko że nie ma recepty, żeby wyjść z tego natychmiast i skutecznie bez tych cierpień. Jeżeli ktoś powiada, że taką receptę ma, to po prostu kłamie.

B.K. – Czy jest Pan optymistą?

W.B. – Proszę Pani, ja jestem optymistą historycznym, tak bym to powiedział, a realistą sytuacyjnym. Sytuacja jest bardzo trudna,

ale nie ma najmniejszych powodów, ażeby sądzić, że nie będzie szło ku lepszemu. Natomiast nie mam w sobie nic z proroka i statystycznych danych tu Pani nie podam. Mogę tylko powiedzieć, że pracując w latach osiemdziesiątych na uniwersytetach niemieckich, dawałem „słowo honoru” moim studentom, że imperium się rozpadnie, że oni tego dożyją. Natomiast, kiedy to się stanie, tej informacji im nie podawałem.

B.K. – Którą z licznych nagród: krajowych, zagranicznych, jakimi został wyróżniony Władysław Bartoszewski, ceni sobie Pan Ambasador najbardziej?

W.B. – Ja bym powiedział tak: cenię sobie obywatelstwo honorowe Izraela, ponieważ to wyróżnienie ma charakter moralny. Cenię też sobie Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, nadany mi przez prezydenta Edwarda Raczyńskiego w Londynie w 1986 roku, który publicznie przyjąłem na kilka lat przed przełomem³, uważając emigracyjnego dostojnika za oficjalnego reprezentanta niepodległej Polski. I cenię sobie wreszcie wszystkie wyrazy uznania i życzliwości ludzi, nawet jeżeli nie są one ubrane w formę nagród, tytułów czy dyplomów. Tylko gdy – jak w przypadku pamiętnego PEN Clubowego spotkania⁴ – okazują się być wyrazem woli określonych osób, ażeby mimo nie najlepszej pogody, przybyć na miejsce randki, porozmawiać z sobą. Proszę pozdrowić więc ode mnie i Czytelników Pani gazety.

B.K. – Dziękuję pięknie za pozdrowienia w ich i własnym imieniu.

„Życie Warszawy”, Warszawa,
21-22 III 1992, nr 69.

¹ Krzysztof Skubiszewski (1926–2010), minister spraw zagranicznych w latach 1989–1993.

² Zob. wyżej w niniejszym tomie *Mowa dziękczynna wygłoszona w języku niemieckim po otrzymaniu dyplomu obywatelstwa honorowego Izraela (Wiedeń, 10 II 1992 r.)*.

³ Władysław Bartoszewski odebrał ten order z rąk Prezydenta RP na uchodźstwie Edwarda Raczyńskiego w dniu 9 I 1986 r. w Londynie.

⁴ Mowa o spotkaniu 19 II 1992 r. w Polskim PEN Clubie w Warszawie, zorganizowanym w dniu 70. urodzin Władysława Bartoszewskiego.

Słowo wstępne podczas spotkania z Szymonem Wiesenthalem w Polskim PEN Clubie

(WARSZAWA, 17 X 1994 R.)

Odnaczenie pana Szymona Wiesenthala Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski przez Pana Prezydenta i oczekująca go uroczystość na Uniwersytecie Jagiellońskim – *nota bene*, jeżeli nie jestem źle poinformowany, jest to od 630 lat pierwszy przypadek odznaczenia człowieka, który określa się jako Żyd, godnością doktora honorowego przez Uniwersytet Jagielloński¹ – już to wszystko stwarza pewną niezwykłą otoczkę dzisiejszego spotkania. [...]

Szymon Wiesenthal opuścił polską ziemię pięćdziesiąt lat temu – polską ziemię, naznaczoną wtedy Płaszowem, w którym był, Oświęcimiem, do którego transportu nie przyjęto go z braku miejsc (to było w ostatnich miesiącach wojny), potem już na dzisiejszej polskiej ziemi przyszło Gross-Rosen [...], Buchenwald i stacja końcowa: Mauthausen, gdzie wyzwoliła go armia amerykańska i gdzie co roku spotykamy się w rocznicę tego wyzwolenia. Tak więc pięćdziesiąt lat temu opuścił polską ziemię i po pięćdziesięciu latach na nią teraz powrócił.

Dlaczego dopiero po pięćdziesięciu latach? [...] Dlatego, że pan Wiesenthal był przez całe swoje życie, i to również życie w tak zwanym u nas „wolnym świecie”, nieubłagany wrogiem systemów niszczących ludzi, systemów autorytarnych i totalitarnych. Dawał temu wyraz i przez swoją czynną działalność, i przez nieuczestniczenie nawet w pozorach mogących świadczyć, że aprobuje, popiera czy toleruje tego rodzaju systemy. Nie widział

więc możliwości przyjazdu do kraju, który, jak to dzisiaj określił u pana Prezydenta, z jednej niewoli wpadł w drugą. [...]

Małe miasteczko Buczacz, którego ludność obok Żydów stanowili mniej więcej w tej samej proporcji Polacy i Ukraińcy, to miejsce urodzenia, lat dziecięcych; później już, po 1918 roku, obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej i udział w tym wszystkim, co się w Polsce działo, dobrym i złym. Mocny związek ze Lwowem, [...] obdarzanym równym sentymentem przez ludzi różnego pochodzenia i wyznania, którzy w nim mieszkali.

Lata młodości Szymona Wiesenthala przypadły na okres niebezpiecznego rozwoju – w różnych krajach Europy, w tym też w Polsce – skrajnych tendencji nacjonalistycznych, ale nade wszystko był to okres zbrodniczego przygotowywania się agresorów hitlerowskich i stalinowskich do obalenia i zniszczenia istniejącego w Europie porządku, do podboju terytoriów i zniewolenia ludzi.

We wrześniu 1939 r., gdy Polska straciła niepodległość, dostał się Wiesenthal wraz z milionami innych obywateli Polski, w tym i Polaków, i Żydów, pod władzę państwa rządzonego przez Stalina. W czerwcu 1941 r. wiarołomstwo Hitlera wobec dotychczasowego sojusznika zapoczątkowało nowy etap straszliwej wojny. Znamieniem właśnie tego nowego etapu było rozpoczęte wtedy planowe ludobójstwo, zagłada całego narodu żydowskiego. Dotychczasowe prześladowania polskiej elity społecznej i umysłowej oraz szczególnie brutalna dyskryminacja całej ludności żydowskiej – stłoczonej w gettach i obozach, w różnych obozach pracy – rozprzestrzeniły się od lata 1941 na całe terytorium Rzeczypospolitej pod władzą administracji Trzeciej Rzeszy i pod władzą jej aparatu terroru.

Życiorys Wiesenthala jest w pewnym sensie typowym losem, jaki zgotował okupant polskim Żydom i Żydom w ogóle. Tragicznie typowa jest, obok cierpień fizycznych i psychicznych, utrata niemal wszystkich członków rodziny, poza żoną, ocalałą dzięki uczciwości ludzi, którzy w zagrożonych Żydach widzieli ludzi.

Nietypowa natomiast jest cała powojenna droga życia Szymona Wiesenthala. Ponad czterdzieści dziewięć lat, które przeżył w Austrii jako człowiek wolny, ale przecież uwarunkowany –

także z własnego wyboru – przeżyciami lat Zagłady. Powstałe z jego inicjatywy i dzięki jego chwalebnemu uporowi Centrum Dokumentacji w Linzu, a następnie w Wiedniu, stało się jednym z najważniejszych w świecie ośrodków, archiwów dokumentujących i badających zbrodnie masowe popełniane w latach II wojny światowej na Żydach, ale także na innych ofiarach hitleryzmu, w tym przede wszystkim na Polakach, ale również na Cyganach, narodzie Romów – w ogóle na ludziach wtedy prześladowanych.

Szymon Wiesenthal przyczynił się, jak wiadomo, do odnalezienia, ujęcia, pociągnięcia do odpowiedzialności wielu zbrodniarzy działających w tym strasznym czasie na ziemiach polskich, w tym między innymi komendanta Treblinki Franza Stangla, odpowiedzialnego za mord na polskich profesorach we Lwowie Waltera Kutschmanna, zastępcy komendanta Sobiboru Gustawa Wagnera, szefa getta w Przemyślu, Josefa Schwammbergera.

Reprezentował przy tym konsekwentnie w swojej działalności badawczej i publikacjach zasadę poszanowania prawa i godności każdego człowieka, dochodzenia prawdy i niezależnego wymiaru sprawiedliwości, nigdy – zemsty czy odpowiedzialności zbiorowej. Podnosił głos także w obronie pamięci milionów nieżydowskich ofiar czasu Zagłady.

Miał odwagę cywilną, kiedy nie było to w zachodnim świecie popularne (a już na pewno nie było popularne wśród ludzi pióra), publicznie upominać się w wypowiedziach prasowych i na falach Radia Wolna Europa – zaprzyjaźniony z Janem Nowakiem-Jeziorańskim i Tadeuszem Zawadzkiem-Żenczykowskim – o prawdę także o zbrodniach stalinowskich, w tym o prawdę o zbrodni katyńskiej. Bohaterką jednej ze swych poczytnych książek, wydanej w 1975 roku pod tytułem *Krystyna*, uczynił łączniczkę AK, więzioną i zamordowaną przez gestapo we Lwowie². Nie znam innego pisarza na świecie, który poświęcałby wtedy takim sprawom uwagę.

W 1983 roku był Wiesenthal jednym z sześciu sygnatariuszy manifestu podpisanego przez trzech wybitnych działaczy żydowskich z Polski i trzech znanych polskich uczestników II wojny światowej, oficerów AK. Byli to obok niego Michał Borwicz i Józef Lichten oraz Jan Karski, Jerzy Lerski i Jan Nowak-Jeziorański.

Idee tego manifestu, ogłoszonego przez paryską „Kulturę” i szereg czasopism w językach angielskim, francuskim, niemieckim, żydowskim, hebrajskim i na emigracji po polsku, wyrażone są dość przejrzyście w zdaniach:

[...] temu wzajemnemu antagonizmowi. Wyrządza on szkody obu stronom i jest szczególnie bolesny dla tych Żydów, którzy będąc patriotami polskimi, nie zapominają o swym żydowskim pochodzeniu i chcą być wierni swojemu dziedzictwu i religii. Nie służą temu celowi ani wzajemne inkryminacje, ani próby roztrząsania, kto w tym tragicznym bilansie ponosi większą winę. Po obu stronach ludzie dobrej woli dążą do nawiązania dialogu i wzajemnego zrozumienia. Szukajmy w tym dialogu tego, co dziś łączyć powinno Polaków i Żydów. Rzucając te pierwsze myśli służące zbliżeniu Polaków i Żydów, zdajemy sobie w pełni sprawę, że ściągamy na siebie ataki ekstremistów po obu stronach. Nie odwiedzie nas to od inicjatywy podyktowanej wolą służenia idei braterstwa bliźnich bez względu na ich pochodzenie, religię, kolor skóry i rasę. Czynimy to wierni nakazom Dekalogu, wspólnego źródła obu naszych religii i fundamentu, na którym opierają się najwyższe wartości naszej cywilizacji. Jesteśmy przekonani, że służymy w ten sposób najlepiej sprawie Polaków i Żydów. [...]

Ataki na tego człowieka, sterowane z naszego kraju w latach 1967 (po wybuchu wojny sześciodniowej), 1968, 1969 sprawiły, że odczułem nieprzepartą potrzebę wyrażenia mu szacunku. Przyjeżdżając przed dwudziestu pięciu laty do Wiednia, miałem przyjemność poznać go osobiście i od tej pory znalazłem się w sieci Szymona Wiesenthala, w której się bardzo dobrze czułem, aż do momentu, kiedy on – i to jest *signum temporis* – występując w Instytucie Polskim w Wiedniu przy Ambasadzie RP powiedział, że przecież ambasador był w jego sieci, a teraz on może w tym Instytucie już wystąpić. Już – dopiero teraz.

Polski PEN Club 1925–2005. Księga pamiątkowa,
pod redakcją Adama Pomorskiego,
Warszawa 2005, s. 242–244 (z kilkoma opustkami redakcyjnymi).

¹ Szymon Wiesenthal (1908–2005), znany jako „łowca nazistów”, został udekorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski w tymże dniu – 17 X 1994 r. – w Warszawie przez Prezydenta RP Lecha

Wałęsę. Cztery dni później, 21 X 1994 r., otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Zmarł 20 IX 2005 r. w Wiedniu.

- ² Książka Krystyna. *Die Tragödie des polnischen Widerstandes* została wydana w języku niemieckim w Monachium w 1986 r., w języku francuskim w Paryżu w 1987 r., w języku angielskim w Riverside (Kalifornia, Stany Zjednoczone) w 1992 r.
- ³ Mowa o oświadczeniu, ogłoszonym pt. *Sprawa stosunków polsko-żydowskich* na łamach paryskiej „Kultury” we wrześniu 1983 r. (nr 9, s. 92-94). W liście do redakcji opublikowanym w następnym numerze tego pisma (nr 10, s. 155) do sześciu wymienionych wyżej sygnatariuszy oświadczenia dołączył także swój podpis Władysław Bartoszewski.

O „Armii Podziemnej” po latach

Posłowie

do: Tadeusz Bór-Komorowski, „Armia Podziemna”

Dowódca Armii Krajowej od lipca 1943 r. aż do chwili upadku Powstania Warszawskiego i jeniec oflagów niemieckich od października 1944 do 5 maja 1945 r., uwolniony przez aliantów z obozu w Markt Pongau w Tyrolu – gen. dyw. Tadeusz Komorowski, pseudonim „Bór”, udał się do Londynu. Tam podjął obowiązki Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych; nominację na to stanowisko otrzymał, jak wiadomo, od prezydenta RP w Londynie, Władysława Raczkiewicza. Do 8 listopada 1946 r., w krytycznym dla Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie stadium ich historii, spełniał z godnością swe zaszczytne, ale gorzkie funkcje. Po rozwiązaniu przez Anglików regularnych formacji wojska polskiego na Zachodzie stanął na czele rządu RP na uchodźstwie jako premier i funkcję tę pełnił od 21 lipca 1947 do 7 kwietnia 1949 r.

W tym samym czasie, już w tych pierwszych powojennych latach, imię Tadeusza Komorowskiego było w kraju wyklęte. Polska [Władysława] Gomułki, a potem [Bolesława] Bieruta, wraz ze swą urzędową historiografią i publicystyką, przypisywała „Borowi”, na równi chyba z gen. [Władysławem] Andersem, innym niezłomnym bohaterem walk o niepodległość, cechy złe i najgorsze. Niskie, nikczemne pomówienia i niewiarygodne w swym cynizmie zarzuty działania na szkodę Polski czy wręcz zdrady kraju formułowali pod adresem gen. Bora-Komorowskiego najmici nowego systemu, działający politycznie i propagandowo

w interesie Moskwy, których nazwisk dzisiaj nawet przypominać nie warto. Inna Polska – w niej setki tysięcy mężczyzn i kobiet związanych czynnie z walką Armii Krajowej i innych formacji wojskowych i cywilnych Polski Podziemnej oraz paromilionowa rzesza ich rodzin – skazana była na przymusowe milczenie.

Zamiast faktów o dorobku AK rozpowszechniano coraz natrętniej narastające kłamstwa o rzekomo dominującej roli komunistów i ich popleczników w walce z Niemcami. Politycznie było to całkowicie zrozumiałe: komuniści i ich oportunistyczni sojusznicy w dziele pozbawiania społeczeństwa polskiego podmiotowości i przyzwyczajania go do podległości wobec sponsorowanej przez ZSRR nowej władzy z natury rzeczy niejako odrzucać musieli prawdę historyczną o Armii Krajowej, największej w dziejach Polski i najliczniejszej w okupowanej przez Niemcy hitlerowskie Europie armii podziemnej, której jedynym zadaniem było „wyzwolenie Polski z niewoli” – jak głosiła już pierwsza rota przysięgi Związku Walki Zbrojnej, stanowiącego w zimie 1939/1940 formację poprzedzającą utworzenie Armii Krajowej.

Zarówno pod rządami Gomułki, I sekretarza partii komunistycznej (PPR) do lata 1948 r., jak i jego następcy, Bieruta – więzienia i areszty, piwnice miejskich, powiatowych i wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa zapełniane były systematycznie i ciągle na nowo tysiącami, a z czasem dziesiątkami tysięcy dobrych synów i córek Polski, których główną winą była ofiarność wykazana i udowodniona w służbie niepodległości Rzeczypospolitej, zarówno w krajowym Podziemiu, jak w formacjach wojska polskiego na Zachodzie. Im zaś większa była ta ofiarność, męstwo, często bohaterstwo, tym bardziej znienawidzeni byli ich reprezentanci, bo tym większe zagrożenie potencjalną gotowością stawiania jakiegokolwiek oporu stanowili w oczach rosnącej w siłę materialną i policyjną nowej władzy.

Świadomość istnienia środowiska polskiej emigracji niepodległościowej na Zachodzie, szczególnie w Wielkiej Brytanii, była w pierwszych latach powojennych w Polsce pod rządami komunizmu jeszcze dość żywa. Radio BBC bywało często źródłem alternatywnych wiadomości i ocen, zarówno w środowisku inteligenckim, jak ówczesnym robotniczym i chłopskim, wychowa-

nym przecież przed wybuchem wojny lub w ciągu długich pięciu i pół lat wojny w przywiązaniu do systemu wartości związanego z własnym, suwerennym państwem, nie podległym żadnym obcym potencjom. Poczucie beznadziejności jednak, narastające coraz silniej od czasu ugody aliantów ze Stalinem w Jałcie, świadomość politycznej klęski Polski w II wojnie światowej, planowy terror, nie tylko wobec byłych uczestników walki podziemnej, ale wobec wszystkich, którzy próbowali budować nowe życie w sposób względnie niezależny od narzuconej partii komunistycznej (wobec członków i działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego, wobec tej części członków Polskiej Partii Socjalistycznej, którzy chcieli pozostać wierni tradycji niepodległościowej, wolnościowej swojego ruchu, wobec działaczy katolickich i narodowych, wobec oddanych Polsce – bez przymiotnika „Ludowa” – harcerzy) – wszystko to przyczyniło się z czasem w sposób istotny do osłabienia woli wszelkiego oporu, do emigracji wewnętrznej jednych, do rezygnacji i dostosowania się innych, do tolerowania triumfujących kanalii, skoro żadnego wyjścia widać nie było.

Pozostawała przecież zawsze wolna myśl o przeszłości, zainteresowanie, jak to było naprawdę, wiedza o faktach sprzed niewielu lat, dostępna wtedy tylko nielicznym. Działania komunistycznej cenzury przewencyjnej, nazywanej eufemicznie „kontrolą prasy i publikacji”, eliminowały konsekwentnie, zwłaszcza od końca roku 1948, każde dobre słowo o Armii Krajowej. Nieliczne teksty na ten temat, opublikowane głównie w latach 1946 i 1947 w czasopismach katolickich, „Tygodniku Warszawskim” i „Tygodniku Powszechnym”, a szczególnie w dzienniku PSL – „Gazecie Ludowej”, jak też powojenne [w 1946 r.] wznowienie konspiracyjnej, głośnej książki Aleksandra Kamińskiego *Kamienie na szaniec*, należały do unikalnych w sumie wyjątków, których w następnych latach nie dopuszczano.

Gdy w roku 1950 ukazał się w Londynie, staraniem tamtejszego Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego, tom trzeci dzieła zbiorowego *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, poświęcony Armii Krajowej, gdy w rok później wydano w Londynie po raz pierwszy polską wersję wspomnień wojennych Tadeusza Bora-Komorowskiego pt. *Armia Podziemna* – nic o tych obu

wydarzeniach wydawniczych nie wiedziałem, choć należałem do grona ludzi, którym sprawy historii AK leżały szczególnie na sercu. Byłem wtedy więźniem X i XI pawilonu w więzieniu przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie. Nie czytałem od paru lat gazet, a więc nie znałem nawet ataków i napaści na emigrację polską na Zachodzie, z których niekiedy można było coś pośrednio wywnioskować. Nie słuchaliśmy też oczywiście w więzieniu radia i nawet sam fakt powołania do życia 3 maja 1952 r. Radia Wolna Europa, prawdziwego głosu wolnej Polski, nie był nam w ogóle znany.

W parę lat później dopiero, chyba wczesną jesienią 1954 r., w kilka tygodni po wyjściu z więzienia, właśnie z jakiejś audycji historycznej usłyszanej w Radiu Wolna Europa, dowiedziałem się o istnieniu pamiątnika dowódcy Armii Krajowej. Wspominam to, bo w podobnym stanie izolacji czy niewiedzy, spowodowanej różnymi okolicznościami owego czasu, znajdowało się wielu, a może większość ludzi związanych w swej wojennej przeszłości z Polską Podziemną. Znacznie, znacznie później, chyba w roku 1957, ofiarowała mi egzemplarz *Armii Podziemnej* dr med. Jadwiga Beaupré, kapitan AK „Malina”, była kierowniczką sekretariatu szefa sztabu AK, generała [Tadeusza] Pełczyńskiego, z którą przyjaźniłem się od czasu Powstania. Jej też zawdzięczałem późniejsze utworzenie drogi do spotkania z gen. Pełczyńskim w Londynie w czerwcu 1966 r., a pośrednio i możliwość osobistego poznania gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego.

Gdy w dwadzieścia jeden lat po wojnie udało mi się po raz pierwszy pojechać do Londynu, byłem tam już w wyniku referencji „Maliny” oczekiwany i serdecznie przyjęty w Studium Polski Podziemnej przez gen. Pełczyńskiego i jego żonę, panią Wandę Pełczyńską. Rozmowy z gen. Pełczyńskim, a także z płk. Kazimierzem Irankiem-Osmeckim, dotyczyły przede wszystkim Powstania Warszawskiego oraz różnych prac Komendy Głównej AK w Podziemiu. Mogłem przeczytać wszystko ważniejsze, co na ten temat na Zachodzie opublikowano; nieliczne tylko z tych pozycji dostępne były w kraju, i to nie bez dużych trudności. Umożliwiono mi ponadto korzystanie bez ograniczeń z archiwum Studium.

Gdzieś na początku czerwca 1966 r. przyjęty zostałem w Studium przez gen. Bora-Komorowskiego, w obecności gen. Peł-

czyńskiego. Rozmowa dotyczyła aktualnej sytuacji w środowisku dawnych akowców w kraju, a w sferze historycznej – okoliczności wybuchu i zakończenia Powstania Warszawskiego. Generał Komorowski był wtedy (wraz z gen. Andersem i Edwardem Raczyńskim) członkiem Rady Trzech, naczelnego kierownictwa politycznego polskiej emigracji niepodległościowej. Nie jestem dziś pewien, czy ta właśnie okoliczność – ważna dla tych z nas, którzy nie uważali rządu w Warszawie za suwerenny rząd Polski (a do takich należałem) – czy raczej poprzednia funkcja generała w Armii Krajowej, działały na mnie nieco onieśmielająco.

Pozostaje mi jednak do dziś żywo w pamięci skromność i prostota, i pewna łagodność tego ciężko doświadczonego człowieka, którego nigdy przedtem nie miałem okazji poznać, a który zaskarbił sobie już uprzednio moją sympatię głównie tym, że sprawcy nieszczęść Polski atakowali go tak podle i zajadle. W konfrontacji z osobą Autora wydał mi się tekst jego wspomnień, już przed tym spotkaniem dobrze mi znany, jak gdyby bliższy i w swym tonie bardziej oczywisty, autentyczny. I mogłem w pełni uwierzyć słowom końcowej części przedmowy do pierwszego wydania *Armii Podziemnej*:

Bohaterem książki jest nieprzejrzany zastęp bezimiennych bojowników, którzy żyli dla Sprawy i ginęli bez gestów i skargi, bez nadziei nawet, aby historia przekazała ich pamięć przyszłym pokoleniom.

Ten człowiek bowiem z wielką powściągliwością i godnością osobistą dał w rozmowie ze mną do zrozumienia i odczucia, jak bardzo czuje się odpowiedzialny za wszystko, o czym decydował i współdecydował, za śmierć poległych i za dalsze losy pozostałych przy życiu żołnierzy AK, za tych, z którymi dobrowolnie poszedł do niewoli w październiku 1944 r., i za wszystkich, którzy naszej sprawie pozostali wierni i za nią cierpieli.

Nie uważał się za historyka i nim nie był, ale rozumiał dobrze znaczenie utrwalania faktów dla historii. Wyraził też chętnie gotowość udzielenia mi odpowiedzi na kwestionariusz pytań historycznych, które miałem przygotować. Rozstałem się z nim pod dużo większym wrażeniem, niż to sobie mogłem wyobrazić przed spotkaniem na Leopold Road.

W kilka ledwie tygodni po powrocie do Warszawy dowiedziałem się o jego nagłym zgonie. I tak to moje pierwsze spotkanie z gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim pozostać miało ostatnim.

W połowie lat sześćdziesiątych byliśmy w kraju świadkami odmienionej taktyki działania władz komunistycznych wobec żołnierzy II wojny światowej. Dotyczyło to przede wszystkim uczestników walk wrześniowych 1939 r. i żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ale także i żołnierzy Armii Krajowej. Dokonywano różnych zabiegów w celu zawłaszczenia przez PRL patriotycznego, żołnierskiego dorobku i zasług tej kategorii Polaków. Zjawisko to, podyktowane doraźnymi celami taktycznymi jednej z walczących o władzę frakcji w PZPR i w wielu swych przejawach szkodliwe i demoralizujące, miało również pewne skutki uboczne, obiektywnie pozytywne. Zwłaszcza niejakię poszerzenie zakresu swobody publikacji z dziedziny historii najnowszej zaowocowało (w sposób zapewne odbiegający od myślenia mocodawców) wydaniem w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych wielu wartościowych opracowań, biografii, wspomnień, zbiorów dokumentów i ogłoszeniem w czasopismach przyczynków historycznych, przybliżających prawdziwy obraz wydarzeń i wzbogacających znacznie wiedzę ogółu o działaniach, postawie i przeżyciach Polaków w latach II wojny światowej.

Tabu pozostawał jednak nadal teren przedwojennych ziem państwa polskiego położonych na wschód od Bugu i Sanu, ze wszystkim, co się tam działo, a do osób tabu należeli dalej m.in. generałowie Władysław Anders, Tadeusz Pełczyński i Tadeusz Bór-Komorowski. Pisać można było o nich źle lub wcale, choć ustały na ogół skrajnie oszczercze i niewybredne ataki z wcześniejszego okresu PRL. Obowiązywała nadal niepisana zasada warunkowej akceptacji zasług żołnierzy i młodszych oficerów, wybiórczo też dowódców średniego i wyższego szczebla, najlepiej pośmiertnie albo jeśli dali się używać do celów propagandowych ZBOWiD [Związku Bojowników o Wolność i Demokrację]. Dowódcy naczelni lub moralnie nieustępliwi oficerowie AK byli wciąż przemilczani bądź oceniani całkowicie negatywnie, niejednokrotnie – niestety – także „w majestacie nauki”.

Różne działania opozycji demokratycznej w wielkomięskim środowisku inteligencji i robotniczym w drugiej połowie lat siedemdziesiątych nie pozostały bez wpływu na wzrost zainteresowania historią najnowszą wśród młodszego i najmłodszego pokolenia. Charakterystycznym wyrazem tego zainteresowania była wzrastająca popularność wykładów i odczytów historycznych w duszpasterstwach akademickich i w działających wtedy pięciu Klubach Inteligencji Katolickiej, wreszcie – od zimy 1977/1978 – również w ramach „Uniwersytetu Latającego”.

Publicznie możliwy stał się jednak powrót osoby Tadeusza Bora-Komorowskiego do świadomości czytelników słowa drukowanego dopiero w okresie legalizacji NSZZ „Solidarność”. Bardzo pozytywną rolę odegrał tu w 1981 r. niezmiernie wtedy poczytny „Tygodnik Solidarność”. Wstrząs stanu wojennego w grudniu 1981 r. skierował znaczną część uwagi czytelników rozwijających się wydawnictw tajnych ku bieżącej problematyce politycznej, ale bibliografowie publikacji podziemnych w Polsce lat osiemdziesiątych odnotowują wydanie w Krakowie w roku 1983 sześćdziesięciokilkostronicowego przedruku fragmentów *Armii Podziemnej*, a w roku 1986 w Warszawie pełnego tekstu wspomnień gen. „Bora” (na podstawie wydania londyńskiego z 1979 r.). Nie były to zapewne jedyne krajowe przedruki tej książki.

Z perspektywy niemal półwiecza od chwili spisania przez gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego jego wspomnień patrzymy na tę pracę jako na jedną z pierwszych opublikowanych po wojnie książek o Armii Krajowej, ważkich do dziś głównie ze względu na samą osobę Autora. Wszystkie tematy szczegółowe i wątki tej pracy znalazły należyty dalszy ciąg, dopełnienie, dokumentację, często i monograficzne ujęcie naukowe, już po śmierci Autora *Armii Podziemnej*. Badania archiwalne przyniosły korekturę wielu szczegółów, ale nie zmienia to w niczym zasadniczego faktu, że dowódca Armii Krajowej jako uczestnik i koronny świadek wydarzeń o wielkiej doniosłości historycznej dał prawdziwy wyraz podstawowemu założeniu ideowemu tej niezwyklej formacji, którą dane mu było dowodzić: „przyczynienia się własnym wysiłkiem do odzyskania utraconej wolności”.

Ostatnie zdania książki Bora brzmią:

Opisując znane mi bliżej czyny poszczególnych żołnierzy i grup, miałem na myśli trud krwawy setek tysięcy bojowników i bohaterów Polski Podziemnej. Dzięki ich bezgranicznej ofiarności i poświęceniu Polska raz jeszcze dowiodła przed światem, że żadna wroga przemoc nie zdoła złamać jej woli i wydrzeć z duszy Narodu dążenia do niepodległego bytu.

Bieg wydarzeń ostatniego kilkunastolecia i ujawniony w tym czasie potencjał umiłowania wolności przez młodsze pokolenia Polaków pozwalają mniemać, że etos Armii Krajowej nie zamarł wraz z odchodzeniem pokolenia jej żołnierzy z życia publicznego. Byle tylko starczyło podobnego poczucia odpowiedzialności za państwo i tak daleko sięgającej gotowości do ofiar dla jego odbudowy.

Wiedeń–Warszawa, 30 maja 1992

Tadeusz Bór-Komorowski, *Armia Podziemna*,
wyd. 7 (pierwsze oficjalne w kraju),
z posłowiem i przypisami
Władysława Bartoszewskiego
i Andrzeja Krzysztofa Kunerta,
Warszawa 1994, s. 462-468,
wyd. 8 poprawione i uzupełnione,
posłowie Władysław Bartoszewski,
opracowanie naukowe i przypisy
Andrzej Krzysztof Kunert,
Warszawa 2009, s. 475-481.
Przedruk – *Generał Tadeusz Bór-Komorowski
w relacjach i dokumentach*,
opracował Andrzej Krzysztof Kunert,
Warszawa 2000, s. 580-585.

Kilka uwag o Powstaniu Warszawskim

Przedmowa do: Andrzej Krzysztof Kunert,
„Rzeczpospolita Walcząca. Powstanie Warszawskie
1944. Kalendarium”

Od Powstania Warszawskiego mija w chwili wydania tej książki pięćdziesiąt lat, okres w dziejach narodu niezbyt długi, ale w skali życia pokoleń ludzkich bardzo znaczny. Z upływem czasu militarna strona wydarzeń, której poświęcono zresztą dotychczas w kraju i za granicą wiele opracowań i pamiątek, zdaje się ustępować problematyce moralno-historycznych wartości powstania jako wielkiego wydarzenia w dziejach Polski. Spróbujmy tu przeto – dla przypomnienia i pamięci – odnotować kilka faktów.

Powstanie Warszawskie było jedynym w okupowanej przez Niemców Europie wojskowym działaniem ruchu podziemnego o tak wielkim natężeniu i zasięgu, choć nie jedyną próbą uwolnienia własnymi siłami stolicy kraju bez ścisłego uzgodnienia terminu z regularnymi armiami sojusznikowymi: podobnie rzecz miała się w Paryżu (w sierpniu 1944) i w Pradze (w kwietniu 1945).

Intencją ogółu uczestników powstania było wzięcie udziału w akcji z bronią w ręku przeciwko okupantowi, akcji oczekiwanej od pięciu lat, a podstawowym motywem moralnym uznanie konieczności podjęcia tej walki jako walki o wolność i suwerenność Polski.

W toku Powstania Warszawskiego solidarność ludzi osiągnęła częstokroć formy prawdziwego braterstwa. Różnice poglądów nie odgrywały zasadniczej roli. Po pięciu latach okupacji społeczeństwo dawało dobitny wyraz swemu demokratyzmowi i dojrzałości politycznej.

Powstanie zamierzone na 2-3 dni, trwało faktycznie 63 dni. Ten fakt – zdumiewający fachowców wojskowych i dostrzeżony przez sztabowców niemieckich – przypisać trzeba przede wszystkim wyjątkowemu napięciu patriotyzmu i poświęcenia żołnierzy i ludności oraz solidarności działania dla sprawy zwycięstwa.

Strona niemiecka oceniała bój w Warszawie jako „walkę najbardziej zażartą spośród wszystkich prowadzonych od początku wojny, równie ciężką jak walka uliczna o Stalingrad” (Heinrich Himmler do generałów niemieckich, 21 IX 1944), podkreślając, że „gdyby żołnierze niemieccy nie wprowadzili do walki w Warszawie absolutnie wszystkich środków, jakie mają do dyspozycji – walka byłaby beznadziejna” (radio niemieckie, 30 IX 1944).

Gen. Erich von dem Bach, dowodzący siłami niemieckimi zwalczającymi powstanie, tak oto ocenił wpływ akcji powstańczej na działalność bojową armii niemieckiej na odcinku frontu Warszawy:

A. Pod względem materialnym. Ruchy wojsk związane z frontem i dowóz musiały być przestawione na drogę okrężną, co zwiększyło odległość i niepotrzebne zużycie tak cennego paliwa. Związanie kilku pułków i silnych jednostek artylerii, które zostały wyciągnięte z walki z frontu praskiego, wreszcie związanie jednej z najlepszych dywizji pancernych, których na froncie brakowało, co najmniej na 14 dni, utrata z powodu pożaru czy zdobycia przez powstańców bardzo ważnych magazynów mundurowych i żywnościowych, a wreszcie utrata wszystkich wojskowych warsztatów reperacyjnych i jednostek zaopatrzenia, które były nie do zastąpienia.

B. Pod względem moralnym. Moralny wpływ powstania na żołnierzy nie może być nie doceniany. Walczące na wschód od Pragi wojska czuły się stale zagrożone na tyłach przez powstanie. Można było obawiać się wybuchu powstania na Pradze. Przede wszystkim zaś wojska frontowe, już silnie pobite, czuły zagrożoną swą drogę odwrotu na zachód wobec spodziewanego wielkiego natarcia rosyjskiego. Temu poczuciu niepewności można przypisać fakt, że Praga tak niespodzianie została stracona przy ataku Rosjan, który nastąpił później, ponieważ wojska dążyły tylko do osiągnięcia znajdujących się jeszcze na północ od Warszawy mostów przez pospieszny odwrót¹.

Ocenę tę zrozumiemy lepiej pamiętając, że Niemcy ponieśli w walce z powstaniem wyjątkowo wielkie straty, wynoszące – według obliczeń von dem Bacha – około 26 000 ludzi: co najmniej 17 000 zabitych (uznając w tym zaginionych za zabitych) i około 9 000 rannych, przy czym – jak stwierdza von dem Bach – w pierwszych dniach zostały zniszczone całe jednostki, o których losie ze strony niemieckiej nigdy już później nie można było się dowiedzieć. Przeciętne straty niemieckie w akcji bojowej przeciwko powstańcom wynosiły około 1 900 zabitych tygodniowo, przewyższały więc znacznie straty ponoszone przez armie hitlerowskie przy największym nasileniu walk na froncie zachodnim w kampanii 1944/1945 r., które nie przekraczały 1 000 zabitych tygodniowo. Niemiecka 9. Armia (pod dowództwem Nicolausa von Vormanna, a potem gen. Smilo von Lüttwita), utrzymująca odcinek frontu niemiecko-radzieckiego na Wiśle wraz z Warszawą, oceniała straty poniesione w walce przeciwko powstaniu na 25% ogółu swych zabitych i rannych w sierpniu i wrześniu 1944 r.

Około 2 000 żołnierzy niemieckich dostało się do niewoli AK w Warszawie; część z nich – dzieląc los polskiej ludności cywilnej – zginęła od bomb i pocisków własnej armii niszczącej miasto.

Zdobyto na Niemcach m.in. 4 czołgi, 2 samochody pancerne, działo polowe 75 mm, 12 moździerzy i 4 działka przeciwpancerne; zestrzelono 4 samoloty nieprzyjacielskie, zniszczono kilkadziesiąt czołgów, dział szturmowych i samochodów pancernych, a uszkodzono około dwustu.

Po naszej stronie straty wynosiły 18 000 poległych (wraz z zaginionymi) oraz około 6 500-7 000 ciężko rannych żołnierzy powstania. Tak więc formacje niemieckie miały podobne straty w zabitych jak oddziały powstańcze, co stanowi – wobec jaskrawej dysproporcji środków walki – wymowny dowód jakości wyszkolenia powstańców, chlubnie zresztą ocenianego w tajnym raporcie niemieckiego dowódcy garnizonu w Warszawie gen. Rainera Stahela.

Powstanie kosztowało jednak ponadto Warszawę i cały naród około 150 000 zabitych pośród ludności cywilnej; wśród nich co najmniej jedną trzecią stanowiły ofiary bombardowań lotniczych, ponad 40 000 mężczyzn, kobiet i dzieci wymordowały na Woli,

Ochocie, Starym Mieście i Czerniakowie oddziały [Heinza] Reinefartha, [Oskara] Dirlwängera i [Williego] Schmidta, tysiące – w alei Szucha – formacje policyjne podległe [Paulowi] Geiblowi i [Ludwigowi] Hahnowi.

Armia Krajowa wchodziła formalnie w skład Polskich Sił Zbrojnych walczących na różnych frontach i podlegała Naczelnemu Wodzowi w Londynie. Mimo to dopiero 29 sierpnia 1944 r., w piątym tygodniu powstania, zdołano w wyniku usilnych zabiegów uzyskać uznanie jej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone za armię kombatancką. Wywarło to niewątpliwie pewien wpływ na traktowanie jeńców dostających się w ręce niemieckie. Strona hitlerowska dopuszczała się wprawdzie nadal licznych zbrodni wobec uczestników powstania, jednak częstotliwość ich we wrześniu 1944 r. wyraźnie zmalała. W praktyce Niemcy respektować zaczęli prawa kombatanckie powstańców dopiero przy kapitulacji Mokotowa (27 września), Żoliborza (30 września) i Śródmieścia (2 października).

Do niewoli niemieckiej dostało się wtedy 15 378 powstańców, w tym 922 oficerów oraz około 2 000 kobiet – żołnierzy, łączniczek, sanitariuszek.

W czasie dwóch miesięcy powstania zniszczeniu uległo ok. 25% przedwojennego stanu zabudowy Warszawy, głównie w wyniku barbarzyńskiego podpalania całych ulic. Po upadku powstania, tj. między 3 października 1944 a 17 stycznia 1945 r., Niemcy wysadzili w powietrze lub spalili jeszcze ponad drugie tyle domów (ok. 30% przedwojennego stanu zabudowy). Wbrew warunkom dopiero co podpisanego układu kapitulacyjnego, przewidującego chronienie przedmiotów o wartości artystycznej, kulturalnej i kościelnej, a także zabezpieczenie dobra publicznego i prywatnego pozostającego w mieście, spalono wtedy m.in. Bibliotekę Krasieńskich (wraz z nagromadzonymi w niej bezcennymi zbiorami bibliotek: Załuskich, Narodowej, Rapperswilskiej i Uniwersyteckiej), Archiwum Miejskie, Archiwum Akt Nowych, Bibliotekę Publiczną m. Warszawy, wysadzono w powietrze mury katedry Św. Jana i kościoła OO. Jezuitów na ul. Świętojańskiej oraz Zamku Królewskiego, pałac Brühla, pałac Saski, wiele innych jeszcze budowli zabytkowych, pomników, dzieł kultury polskiej i europejskiej.

Wiadomo, że do dzisiaj właściwie trwają w piśmiennictwie historycznym różne kontrowersje fachowe dotyczące okoliczności wybuchu, szans polityczno-wojskowych czy metod działania w czasie Powstania Styczniowego 1863 r., mimo że upłynęło lat z górą sto trzydzieści. Ale uprzytomnijmy sobie, że w pierwszych pokoleniach postyczniowych, w tym pokoleniu, do którego należeli Józef Piłsudski, Stefan Żeromski czy Andrzej Strug, w pokoleniu, które żyło w latach dzielących upadek powstania 1863/1864 r. i szubienice w Cytadeli od wydarzeń 1904/1905 r. na ziemiach polskich, w pięćdziesięcioleciu, jakie upłynęło od złożenia polskiego oręża w 1864 r. do jego podniesienia w dniu 6 sierpnia 1914 r., problematyka skutków społecznych, gospodarczych, psychologicznych, a nade wszystko ideowych tamtych walk o niepodległość obecna była na co dzień na kartach najlepszych dzieł literatury polskiej i w życiu tysięcy świadomych polskich rodzin.

Dzisiaj, w innych przecież warunkach, gdy do szkół i na uczelnie chodzą już wnuki warszawskich powstańców z 1944 r., sprawa Powstania Warszawskiego 1944 r. pozostaje wciąż żywa w myśleniu Polaków. Nie wygasło zainteresowanie problematyką okoliczności wybuchu i politycznych kulis losów powstania, choć rzetelne naświetlenie tych problemów bez reszty – ze względu na niedostępność wielu archiwów wielkich mocarstw – jest nadal trudne. W każdym razie odczucie społeczne zgodne jest tu z wypowiedzią Ojca Świętego Jana Pawła II z 1979 r. o walce, „w której (Warszawa) została opuszczona przez sprzymierzone potęgi”².

Coraz częściej jednak ogół myślących ludzi, a nie badacze specjalistów, obraca się jak gdyby ku nadrzędnemu problemowi trwałych moralno-historycznych wartości Powstania Warszawskiego jako wielkiego wydarzenia w dziejach Polski, jako jednego z symbolicznych ogniw walki o niepodległość i suwerenność Polski.

Z tej perspektywy nie najważniejsze wydaje się, że wiele ocen – jak dziś wiemy – podejmowano w 1944 r. mylnie, że w sposób niepełny, albo wręcz nieprawidłowy rozumiano czy oceniano sytuację międzynarodową, uwarunkowaną już w grudniu 1943 r. podpisaniem układu w Teheranie o podziale Europy na strefy wpływów, że w sposób niepełny oceniano nastawienie polityczne

aliantów, stan gotowości wojskowej, realne możliwości i zamiary działania aliantów zachodnich, ZSRR, a w pewnej mierze także siły strony niemieckiej.

Oceniano przecież również niedoskonałe, w sposób w szczególności błędny, możliwości przy podjęciu walki w 1939 r., a jednak obrona Warszawy we wrześniu 1939 r., która nie mogła przynieść – w tamtych warunkach politycznych i wojskowych – odmiany losu kampanii wojennej (szczególnie po „nożu w plecy” z 17 września 1939) uważana była i jest powszechnie – co uznawała nawet propaganda polityczna w PRL – za czyn nieodzowny i pozytywny. Rozmiar poniesionych w 1939 r. ofiar ludzkich i ofiar materialnych – znaczny, jak na ten czas i na ówczesne doświadczenia – uznawano też w okresie okupacji za ofiarę bolesną, ale usprawiedliwioną i zrozumiałą. Fakt, że stolica Polski jako pierwsza na świecie i jedyna stolica okupowanego później kraju stawiała agresji i oblężeniu bezpośredni opór do wyczerpania wszystkich możliwości w 1939 r., stał się nie tylko źródłem narodowej dumy, stał się zupełnie realnie źródłem podtrzymania godności w najtrudniejszych latach okupacji, a ten element psychologiczny jest równie wymierny, sprawdzalny i doniosły, jak każdy inny realistycznie mierzony element wsparcia jakimiś okolicznościami określonych działań i ludzi w określonej sytuacji.

W Warszawie tradycja ofiarnego i solidarnego działania, męstwa i głębokiego przywiązania do wolności, zmanifestowana we wrześniu 1939 r., była żywotna i owocowała przez całą wojnę działaniami całego patriotycznego ruchu podziemnego: harcerstwa, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, licznych organizacji społecznych; owocowała we wszystkim, wskazując na odrębność zrodzoną w tej tradycji. I trafną wizję stworzył poeta w znanym powszechnie wierszu (mam na myśli K.I. Gałczyńskiego): „w środek Warszawy spłyniemy w dół żołnierze Westerplatte” – wskazując na wspólnotę tej tradycji, jedność walki na froncie i walki podziemnej, na dziedzictwo pojęcia honoru jako realnej wartości. Walka z okupacją miała wymiar nie tylko wojskowy, ale również wychowawczy. Nie jest zapewne rzeczą przypadku, że w całej okupowanej Europie nie ma faktu porównywalnego do tego, którego bohaterami stali się polscy Żydzi, podnosząc ogień

buntu w beznadziejnych starciach w gettach Warszawy, Białego-stoku czy nawet w obozie zagłady w Treblince. *Genius loci*?

Powszechna świadomość celów wojny i celów walki toczonej z przemocą okupanta stała się jednym z podstawowych źródeł siły społeczeństwa w tamtych latach. Walkę o wolność i suwerenność państwa utożsamiano w okupowanej Warszawie z walką o prawa ludzkie, o godność osobistą każdego człowieka. Straszliwe ciśnienie terroru okupanta w latach masowych deportacji do obozów koncentracyjnych, w latach potajemnych egzekucji, po których zostawały kałuże krwi na bruku, próby poniżania, poniewierania ludzi – to wszystko uważano za zjawiska przemijające. Powszechnie wierzono, że u kresu tego zjawiska przyjdzie otwarte, zbrojne, powszechne wystąpienie – osobisty udział społeczeństwa w odzyskaniu wolności.

Ten specyficzny sposób myślenia i ten sposób odczuwania dyktował wówczas wysoką pozycję w hierarchii wartości zdecydowanego odruchu protestu, uznawanego za niezbędny bez względu na realne szanse i konsekwencje, gdy przebrała się miara nieprawości i zbrodni. W tym proteście, w samej gotowości do niego, zawierało się ogromne przywiązanie minionej generacji do imponderabiliów.

Prawdą jest, że decyzja o wybuchu powstania podjęta została w niewielkim gronie ludzi przez konspiracyjne, legalne władze Polskiego Państwa Podziemnego. Ale prawdą jest również, że decyzję poprzedziła spontaniczna, solidarna, masowa decyzja społeczna, decyzja stawienia jawnego oporu woli okupanta, decyzja równa rzuceniu rękawicy przez społeczeństwo bez żadnych wezwań i bez żadnych dyrektyw, a mianowicie: 27 lipca 1944 r. ówczesny niemiecki, niesławnej pamięci, gubernator Ludwig Fischer ogłosił przez megafony – poparte potem plakatami – wezwanie do stawienia się następnego dnia, czyli 28 lipca, w sześciu punktach Warszawy stu tysięcy mężczyzn w wieku od 17 do 65 lat do przymusowych robót fortyfikacyjnych. Wezwanie zbojkotowano. A wiemy, że te, nonsensowne zresztą w praktyce, poczynania fortyfikacyjne prowadzone były w wielu punktach okupowanej Polski przez wiele miesięcy, i że mimo powszechnej przecież niechęci do świadczeń na rzecz wroga – ludzie, radzi nie radzi, bojąc się konsekwencji, pod naciskiem w tych robotach uczestniczyli.

Ten zbiorowy, manifestacyjny bojkot spotkał wtedy okupanta tylko w Warszawie. Logika wskazuje, że niewątpliwie musiałby on pociągnąć za sobą w następnych dniach konsekwencje. Do nich należałyby przede wszystkim: całkowita ewakuacja tak wrogo nastawionej ludności z miasta i obrócenie w ten sposób Warszawy w bazę przyfrontową czy twierdzę. Realizowano to wszak potem wśród ruin stolicy w październiku po powstaniu.

Nie ma do dziś sensownej odpowiedzi na pytanie, czy wobec polityki hitlerowskiej i jej znanych reguł działania istniała w ogóle możliwość zabezpieczenia miasta Warszawy i ludności Warszawy przed zniszczeniem podyktowanym zbrodniczymi celami okupanta. Wiadomo jednak, że było nie do pomyślenia zachowanie przez to milionowe niemal skupisko Polaków bierności na linii frontu przez szereg miesięcy.

Wiadomo również, że front stał do 17 stycznia 1945 r., a więc od sierpnia prawie pół roku. Jest czystą teorią, utopijną politycznie i historycznie, aby Niemcy mogli ścierpieć na bezpośrednim swoim zapleczu, przy toczącej się na linii Wisły walce, Warszawę integralną, nienaruszoną, najeżoną ukrytą bronią i dyszącą chęcią wzięcia odwetu na okupancie. Faktem jest, że z dzielnic i przedmieść Warszawy, położonych na wschodnim brzegu Wisły, wywieziono w sierpniu 1944 r. tysiące mężczyzn do obozów koncentracyjnych, mimo że nie dotarła tam akcja powstańcza.

Faktem jest też, że kiedy powstanie w Warszawie wybuchło, nawet niechętni mu komuniści polscy zmuszeni byli do przyznania w organie prasowym „Armia Ludowa” (27 sierpnia 1944), że „żadne jeszcze z powstań, jakich widownią była Warszawa, nie miało tak jednolitego poparcia całego społeczeństwa”³. Po latach nieco „przeredagowano” tę myśl, że mianowicie powstanie było w ogóle sprawą społeczeństwa, a nie dowództwa AK, tak jakby jakiekolwiek społeczeństwo mogło bez sił kierowniczych zorganizować się i przez dziewięć tygodni trwać w prawie milionowym mieście w zorganizowanym oporze, z najrozmaitszymi służbami, które były niezbędne do funkcjonowania życia.

Przywódcy Powstania Warszawskiego należeli do uczestników walk o niepodległość w konspiracji przed pierwszą wojną światową i w czasie pierwszej wojny światowej. Ludzie, którzy

byli młodzieńcami przed rokiem 1914 i w latach 1914–1920, mieli w chwili wybuchu Powstania Warszawskiego lat 50, czterdzieści kilka, pięćdziesiąt kilka. Walka o wolność była ich życiorysem, a ogromna większość uczestników powstania, młodzieży, była wychowana w niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej w wielkim poszanowaniu patriotycznych tradycji niepodległościowych i powstańczych, była przywiązana do wolności i do suwerenności jako do oczywistego elementu swojego osobistego życia, swojego osobistego bytu, a w konsekwencji nigdy nie pogodzona z samym faktem okupacji, zbuntowana przeciwko wszystkiemu, co stało się udziałem tej generacji w ciągu tak strasznego pięciolecia od roku 1939.

W czasie wojny postępowała zaś prawdziwa demokratyzacja opinii, autentyczna i oddolna: szeroki i coraz szerszy udział młodzieży robotniczej, młodzieży rzemieślniczej, młodzieży chłopskiej w podziemiu, w konspiracji wojskowej, konspiracji politycznej, w konspiracji harcerskiej sprzyjał upowszechnieniu się pojęcia wolności, w którym znak równości stawiano między gotowością do ofiar i walki a prawem do niepodległego bytu. I w tym sensie Powstanie Warszawskie było wprawdzie zespołem działań militarnych, ale było też czymś o wiele większym. Było uzewnętrznieniem tęsknot społecznych, było uzewnętrznieniem wiary ogółu.

Jeden z surowych krytyków Powstania Warszawskiego, znany historyk wojskowości i były wyższy oficer AK, Jerzy Kirchmayer, uznał w kilkanaście lat po wojnie przy – jak napisałem – negatywnym nastawieniu do koncepcji powstania, że

bohaterstwo, ofiarność i zaciętość powstańców są największym w naszej historii przejawem walki o wolność jako wartości wyższej niż życie ludzkie, kalectwo, wszystkie dobra materialne. Byłoby ciężkim błędem nie doceniać, a co gorsza odżegnywać się od takich wartości duchowych⁴.

Takiego błędu niedoceniań i odżegnywania się społeczeństwo polskie potrafiło się – mimo nacisku systemu komunistycznego – ustrzec przez całe czterdziestolecie.

Istnieje kilka generalnych ocen Powstania Warszawskiego. Najpozytywniejszą ocenę sprawności organizacyjnej Armii Kra-

jowej, która potrafiła wytrwać w walce zamierzonej na 3-4 dni przez dni 63, znajdujemy – o dziwo – w materiałach naukowych ogłaszanych przez historyków zachodnioniemieckich.

Krytyka, niekiedy bardzo ostra, wychodzi spod pióra Polaków. I tak wspomniany Jerzy Kirchmayer uważa – generalnie rzecz biorąc, oczywiście w pewnym skrócie – że Powstanie Warszawskie było błędem, bo było nie na rękę polityce sowieckiej. A historyk – Polak, wychowany w brytyjskich uczelniach – profesor Jan Ciechanowski z Londynu, uznaje, że powstanie było błędem, bo było niezgodne z planami brytyjskiego alianta. Mniej natomiast znajdujemy refleksji nad tym, że mieliśmy i mamy prawo – jakkolwiek z szacunkiem, sympatią czy tolerancją odnosilibyśmy się do interesów różnych państw – do prowadzenia własnej polityki, a nawet popełniania własnych błędów. Ktoś powiedział bardzo rozsądnie, że Powstanie Warszawskie, kto wie, czy nie na długie lata, było ostatnim suwerennym aktem dawnej Rzeczypospolitej, podjętym decyzją Polaków w interesie długofalowej racji stanu Polski.

Można zapytać, co to jest racja stanu i czy decyzja o powstaniu była z nią zgodna. Nie ma na to odpowiedzi uniwersalnej. Nie zawsze ci, którzy wchodzili w układ kompromisowy rezygnując z walki, wyszli w ogólnym rozrachunku dziejowym na tym lepiej niż ci, którzy podejmowali walkę pozornie beznadziejną. Ażebym sięgnąć tylko do przykładów z historii sprzed czterdziestu czy trzydziestu lat, a więc niewątpliwie faktów już historycznych, a nie bieżącej polityki – pozostaje sprawą otwartą, czy słuszniejsza była droga, którą wybrała mała Finlandia broniąc swej niepodległości w grudniu 1939 r., czy też droga, którą wybrały w lecie 1940 r. Litwa, Łotwa i Estonia, ustępując bez walki. Czy słuszniejsza była droga, którą wybrali Czesi w 1968 r. nie stawiając zbrojnego oporu, czy ta, na którą weszli Węgrzy w 1956 r. przyplacając to krwawymi ofiarami. Ale – patrząc z perspektywy kilkudziesięciu lat – Węgrzy wyszli w następnych dziesięcioleciach na swych strasznych ofiarach wcale nie najgorzej.

Z perspektywy historyka postrzega się wiele spraw inaczej, bo – niestety i wbrew naszym najgłębszym odczuciom – z perspektywy historyka trzeba patrzeć nie w kategorii jednego tylko

pokolenia. My wszyscy chcemy patrzeć w kategoriach naszego życia, a historia patrzy w kategoriach pokoleń, wielu generacji, nie jednej. I to trzeba brać pod uwagę.

Powiaada się nieraz, że Powstanie Warszawskie było wywołane bez wkalkulowania możliwości udzielenia mu pomocy. Nie mogę tu wchodzić w najeżone liczbami i faktami rozważania szczegółowe. Faktem jest, że Powstanie Warszawskie było jedynym w swoim rodzaju w okupowanej wówczas przez Niemcy hitlerowskie Europie działaniem wojskowym o tak wielkim natężeniu i zasięgu, w którym uczestniczyło bezpośrednio kilkadziesiąt tysięcy, a pośrednio kilkaset tysięcy ludzi. A chociaż dyktowane podobną intencją uwolnienia własnymi siłami stolicy kraju akcje powstańcze w Paryżu w sierpniu 1944 r. i Pradze w kwietniu 1945 r. nie mogą być, jak wiadomo, porównywane z Powstaniem Warszawskim ani pod względem powszechności, ani długotrwałości, ani natężenia walki, a w konsekwencji i strat obu stron walczących – to jednak w Paryżu Francuzi spotkali się ze zmianą strategicznych planów amerykańskich i Amerykanie, którzy spieszenie zmierzali do opanowania Renu, zatrzymali się, ażeby pomóc Paryżowi, i nigdy nie mieli za złe Francuzom, że chcieli na własną rękę wyzwolić własną stolicę, choć nie było to z Amerykanami uzgodnione.

Tak więc nie zagadnienie prawa czy braku prawa decydowania o własnym losie czy walki własnymi siłami o własną stolicę, ale zagadnienie innych konfiguracji, dużo bardziej skomplikowanej natury, może jedynie tłumaczyć przykładanie innej miary do naszych praw, a innej miary do praw innych walczących w innych krajach w gruncie rzeczy o tę samą swobodę decyzji.

Skoro postanowiliśmy poruszyć kwestię wartości historyczno-moralnych czy moralno-historycznych towarzyszących powstaniu, podnieść tu trzeba zagadnienie ogromnej solidarności ludzi, która w toku Powstania Warszawskiego osiągnęła częstokroć formę prawdziwego bohaterstwa, a różnice poglądów odgrywały stosunkowo nikłą rolę. W oswobodzonych częściach miasta społeczeństwo dawało – po pięciu latach okupacji i nieistnienia żadnych jawnych form organizacji życia publicznego – dobitny wyraz swemu demokratyzmowi i swej dojrzałości politycznej.

Do charakterystycznych zjawisk życia politycznego w ciągu tych dwóch miesięcy należała między innymi zupełna swoboda wyrażania myśli i poglądów na łamach prasy powstańczej wszelkich kierunków. Bibliografowie odnotowują dzisiaj około 135 tytułów prasy na terenach objętych powstaniem, reprezentujących wszystkie stronnictwa polityczne oraz – oczywiście – Armię Krajową i Delegaturę Rządu RP na Kraj. Kilkanaście spośród tych pism wydawali komuniści, którzy byli zdecydowanymi przeciwnikami dowództwa Armii Krajowej, Delegatury Rządu, rządu polskiego w Londynie, prasę jednak wydawali w drukarniach przydzielonych im przez AK, na papierze przydzielonym im przez AK, farbą przydzieloną im przez AK i włos z głowy żadnemu z tych ludzi nie spadł. Były to właściwe obyczaje, godne chrześcijańskiego narodu z wielowiekową tradycją tolerancji i poszanowania ludzi o odmiennych poglądach.

W Powstaniu Warszawskim, w obliczu – jak się zdawało wtedy – ostatniej rozstrzygającej walki o wolność i suwerenność niepodległej Polski, ogromną rolę odgrywała wiara. W połączeniu z patriotyzmem była ona dla wielu ludzi – można zaryzykować twierdzenie, że wówczas dla większości ludzi – czynnikiem podtrzymującym nadzieję, źródłem siły moralnej. Żołnierzowi Powstania Warszawskiego towarzyszył niezmiennie w jego codziennej służbie duchowny katolicki, kapelan wojskowy AK, sanitariuszka, siostra zakonna – w kościele czy piwnicznej kaplicy. Na Mszy świętej odprawianej wśród ruin świeżo zniszczonych domów, pod gołym niebem, na kwaterze w domach i powstańczym szpitalu wśród ciężko rannych – a często bezpośrednio na barykadach – księża krzepili na duchu słowami miłosierdzia i odwagi, opiekowali się, spowiadali, udzielali sakramentu komunii, dysponowali na śmierć, zamykali oczy umierającym, zastępowali bardzo często rodziców i najbliższych członków rodziny. Stąd też jako historyk muszę się odwołać do pamięci o takich żyjących i nieżyjących duchownych, których postacie przeszły do dziejów Powstania Warszawskiego: ojca Tomasza Rostworowskiego na Starym Mieście, księdza Stefana Sydrego na Mokotowie, czy późniejszego Prymasa Polski ks. Stefana Wyszyńskiego – kapelana współdziałającej z powstaniem Grupy AK „Kampinos”. To

tylko niektóre spośród dziesiątków nazwisk, które weszły trwale na karty historii powstania.

W niedziele i dni świąteczne żołnierze i ludność cywilna uczestniczyli tłumnie w Mszy świętej wszędzie tam, gdzie na wyzwolonych terenach miasta uzewnętrzniało się polskie życie społeczne. Do komunii przystępowały tysiące ludzi, bardzo często takich, którzy za kilka czy za kilkanaście godzin mieli wziąć udział w walce, niekiedy ostatniej. Kiedy w miarę rozwoju wydarzeń i potęgujących się zniszczeń, większość warszawskich świątyń została obrócona w gruzy, skupiano się po prostu na podwórkach domów, wokół prostych kapliczek, słuchano Mszy w pomieszczeniach piwnicznych.

Księża, zakonnicy, siostry zakonne ponosili wspólną, równą i równie dotkliwą ofiarę krwi razem z ludźmi, którym służyli. Padali ofiarą mordów zbiorowych w dzielnicach, w których zdziczałe żołdactwo wyrzyinało ludzi, dom po domu; tak zginęli jezuici warszawscy, redemptoryści, tak zginęły benedyktynki, samarytanki; ginęli pod gruzami świątyń i klasztorów jak siostry sakramentki na rynku Nowego Miasta. Byli zawsze z nami, razem z ludnością.

Przypadająca w czasie powstania w dniu 26 sierpnia uroczystość Matki Bożej Jasnogórskiej, Królowej Korony Polskiej, obchodzona była w Warszawie uroczyście i oficjalnie. Armia Krajowa była armią polską, związaną z chrześcijańskimi tradycjami narodu. Komendant Okręgu Warszawskiego AK Antoni Chruściel „Monter”, dowodzący walką prowadzoną w Warszawie, wydał z okazji 26 sierpnia specjalny rozkaz, zalecający odpowiednie uczczenie tego święta w szeregach żołnierzy AK.

Powstanie we wszystkim tym, co wzniosłe i piękne, i z tym wszystkim, co było ludzką słabością i małością, odegrało ważną rolę na drodze do odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski. Wydaje mi się, jako historykowi tego okresu, a nie jako uczestnikowi, który nie był wtedy tego świadom, będąc tylko jednym z dziesiątków tysięcy spełniających swój obowiązek codzienny, że dziś jeszcze nie umiemy w pełni ocenić, jak wielkie jest znaczenie Powstania Warszawskiego dla ugruntowania pojęć niepodległości i tęsknoty do niepodległości.

Zanim przejdę do innych jeszcze, końcowych zagadnień, przytoczę dwa – jak mi się wydaje – interesujące szczegóły, które

nie są powszechnie znane. W ostatniej chwili przed wybuchem powstania przybył z Londynu kurier rządu i dowództwa Jan Jeziorański-Nowak. Rozmawiał on z Pełnomocnikiem Rządu RP na Kraj, wicepremierem Janem Stanisławem Jankowskim, w Warszawie 29 lipca 1944 r. Ponieważ wicepremier Jankowski nie żyje (zmarł w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach w więzieniu we Włodzimierzu nad Kłazmą) i nie pozostawił po sobie pamiętników, przeto relacja człowieka, który rozmawiał z nim kilkadziesiąt godzin przed wybuchem powstania, ma wagę dokumentu historycznego.

Oto, co odnotował w swoim pamiętniku Jan Nowak z odpowiedzi Pełnomocnika Rządu na jego pytanie, czy nie można jeszcze powstrzymać tych wydarzeń, bowiem kurier przybyły z Londynu sceptycznie zapatrywał się na możliwość uzyskania pomocy z Zachodu. Wicepremier Jan Stanisław Jankowski odpowiedział dosłownie:

My tu nie mamy wyboru. „Burza” [kryptonim akcji] w Warszawie nie jest czymś odosobnionym. To jest ogniwo w długim łańcuchu, który zaczął się we wrześniu [1939]. Walki w mieście wybuchną, czy my tego chcemy, czy nie. [...] Za dzień, dwa albo trzy Warszawa będzie w pierwszej linii frontu. Ja nie wiem, może Niemcy wycofają się od razu, a może dojdzie do walk ulicznych jak w Stalingradzie. Czy Pan sobie wyobraża, że nasza młodzież dysząca żądzą odwetu, którą myśmy szkolili od lat, sposobili do tej chwili, daliśmy jej broń do ręki, będzie się biernie przyglądała albo da się Niemcom wywieźć bez oporu do Rzeszy? Jeżeli my nie damy sygnału do walki, ubiegną nas w tym komuniści. Ludzie wtedy rzeczywiście uwierzą, że chcieliśmy stać z bronią u nogi⁵.

Chciałem zwrócić uwagę na okoliczność, że w 1964 r. po raz pierwszy po wojnie historyk Antoni Przygoński w tomie szkiców o Powstaniu Warszawskim podał do wiadomości, że komunistyczna Armia Ludowa szykowała się, aby – kiedy armia sowiecka wkraczać będzie w lecie 1944 r. do Warszawy – skoncentrować swe siły, opanować ratusz, zabarykadować się, wywiesić czerwoną flagę, proklamować objęcie władzy i wzywać pomocy⁶. To bardzo realistyczny plan, bo czterystu kilkudziesięciu ludzi, którymi dysponowała w Warszawie Armia Ludowa, w sam raz mogło, gdyby się skoncentrowali w wielkim wysiłku – zająć jeden budy-

nek, wywiesić flagę i stać się w ten sposób właścicielami ratusza, właścicielami zarządu miasta, właścicielami Polski.

Tak więc opinia wicepremiera Jankowskiego, wyrażona 29 lipca 1944 r., znalazła wystarczające potwierdzenie w tekście marksistowskiego historyka tego okresu.

1 sierpnia 1981 r. Warszawa obejść mogła publiczne, w sposób manifestacyjny i godny, kolejną rocznicę Powstania Warszawskiego w pierwszym roku działania odrodzieńczego ruchu społecznego, jakim stał się wtedy NSZZ „Solidarność”. Wydana bez cenzury odezwa Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, kolportowana w mieście w formie ulotki, naklejanej też 1 sierpnia 1981 r. na murach, stanowi dziś rzadki dokument historyczny (napisałem ją na zlecenie sekretariatu ówczesnego przewodniczącego Regionu Mazowsze, Zbigniewa Bujaka):

[...] ⁷

Do tekstu tej ulotki dodawać dziś, w lecie 1994 r., w suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej, właściwie niczego nie trzeba. Jedyne uzupełnienie, jakie trwale zapisać powinniśmy w pamięci i świadomości społecznej, przyszło z Watykanu. 18 maja 1994 r. Ojciec Św. Jan Paweł II, największy autorytet moralny dla ogółu Polaków, powiedział w swym orędziu do uczestników obchodów rocznicy bitwy pod Monte Cassino co następuje (według „Osservatore Romano”, wydanie polskie, 1994, nr 6-7, s. 55-56):

Myśl nasza i modlitwa nasza zwraca się w stronę tych poległych, którzy rozstając się z życiem, myśleli o swoich bliskich w Polsce, a śmierć ich była świadectwem tej gotowości, która wtedy cechowała całe społeczeństwo: o d d a ć ż y c i e d l a ś w i ę t e j s p r a w y O j c z y z n y.

Nie możemy zapomnieć, że w tym samym roku 1944, w kilka miesięcy później, wybucha także Powstanie Warszawskie, które miało być jakimś odpowiednikiem walki pod Monte Cassino. Polacy w Ojczyźnie uważali, że powinni podjąć jeszcze i ten bój, ażeby zaznaczyć, że P o l s k a o d p i e r w s z e g o d o o s t a t n i e g o d n i a w a l c z y o s p r a w ę n i e t y l k o s w o j e j w o l n o ś c i, a l e t a k ż e i o s p r a w ę p r z y s z ł o ś c i E u r o p y i ś w i a t a. Liczyli przy tym na to, że zbliżająca się do Warszawy Armia Radziecka, a z nią także formacje polskie powstałe na terenie Związku Radzieckiego, dopomogą im przewa-